

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Tym razem publikujemy relację XIX-wiecznego zesłańca Jana Witorta oraz wspomnienia Honoraty Jaśkiewicz, przebywającej na zesłaniu w Kazachstanie w latach 1940-1946. (red.)

\*

### **Jan Witort – *Na weselu u Kazachów***

Działacz niepodległościowy, zesłańca syberyjski, etnograf, ur. w 1853 r. na terenie guberni kowieńskiej, zm. w 1903 r. tamże, prawdopodobnie w miejscowości Poniewież. Absolwent gimnazjum w Wilnie, student Akademii Medyko-Chirurgicznej, potem Instytutu Technicznego w Petersburgu. Aresztowany za przynależność do kółka socjalistycznego, zesłany został w 1875 r. do Archangielska a następnie wyznaczono mu jako miejsce pobytu miasto Onegę, leżące przy ujściu rzeki o tej samej nazwie do Zatoki Oneńskiej Morza Białego. Stąd wyruszał na wycieczki do bliższych i dalszych miejscowości, powodowany zainteresowaniami ludoznawczymi. W okolicach Kandalakszy bywał wśród mieszkających tam Saamów - bardzo często nazywanych Lapończykami. Odwiedził także Półwysep Kola i Wyspy Sołowieckie, leżące na Morzu Białym. Poznał życie mnichów w Klasztorze Sołowieckim, stanowiącym niezmiernie ważny punkt prawosławia, nie tylko Pomorza (czyli wybrzeży Morza Białego), ale całej ówczesnej Rosji.

Po zwolnieniu z zesłania przybył J. Witort do Krakowa (1879), gdzie został rychło aresztowany za kontakty z galicyjskimi socjalistami i wydalony z zaboru austriack-

kiego. Po przybyciu do Warszawy nie zaprzestaje działalności niepodległościowej. Zatrzymany przez „ochranę” więziony był dziewięć miesięcy w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej i skazany został ponownie na zesłanie (1880). Początkowo przebywał w Nikolsku (Wologda), później został przeniesiony do Tomsku i Semipałatyńska. Podobnie jak podczas pierwsze zsyłki, ludoznawcze zainteresowania Witorta spowodowały, że poczynił on interesujące obserwacje o życiu Kazachów. Na temat ten opublikował artykuł *Ze stepów Azji Środkowej* w lwowskim czasopiśmie „Lud” 1899 r., t. 5, który w ocenie współczesnego etnologa Zbigniewa Jasiewicza z Poznania „jest pozycją wyjątkową w polskim piśmiennictwie środkowo-azjatyckim. Po raz pierwszy zabrał głos obserwator czytany w literaturze etnograficznej i posługujący się przyjmowanymi wówczas założeniami teoretycznymi, przedstawiający systematyczny wykład wybranego zagadnienia. Zainteresowany prawem zwyczajowym dostarcza bogatych danych dotyczących rodziny, stosunków własnościowych i etyki u Kazachów”.

Zwolniony z zesłania wrócił J. Witort (1886) do europejskiej części carstwa, mieszkał w Poniewieżu, w guberni kowieńskiej. Na niwie naukowej współpracował z czasopismami „Lud”, „Wisła”, „Głos”. Napisał między innymi: *Kilka słów o świekroście*, *Godła rodowe chłopów Archangielskich*, *Przyczynek do historii przesądów (Rozstrzelanie cholery na Syberii w 1892 r.)* wszystko w czasopiśmie „Lud” 1896, t. 2. Poza tym opublikował *Zarys prawa zwyczajowego ludu litewskiego* (1898), *Zarys prawa pierwotnego* (1899). Jego zasługi dla etnografii polskiej nie zostały dotychczas w pełni przedstawione. Materiały biograficzne dotyczące J. Witorta znajdują się w Archiwum Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu.<sup>1</sup>



Ludziom z zachodu, którzy przywykli widzieć lasy i pola, wsie i miasta, trudno wyobrazić sobie stepy; każde wspomnienie o nich wywołuje obraz olbrzymiej płaszczyzny pokrytej bądź piaskiem, jak Sahara, bądź jednostajną, bujną roślinnością, jak amerykańskie prerie; zawsze jednak znamioną cechą stepów jest nużąca jednostajność, wzbudzająca tęsknotę lub pewną ospałość, wieczne powtarzanie się tych samych obrazków, tych samych wrażeń.<sup>2</sup> Takie wrażenia wynosi zwykle podróżnik przy pierwszym obeznaniu się ze stepem, lecz one rychło nikną, skoro oko oswoi się z niezwykłym widokiem, skoro baczniej rozejrzy się w otoczeniu. Nie widać tu ani pól falujących zbożem, ani owej prawie czarnej zieloności lasów iglastych, a jednak gra barw jest niemniej żywą i niemniej urozmaiconą. Obok szarego piasku, stanowiącego tło obrazów stepowych, ciągną się nad ruczajami długie smugi trawy, jak ruń zielonej, a usianej kwieciami irysu; gdzie indziej widać srebrzyste duże plamy – to piołun,

<sup>1</sup> J. Witort, *Autobiografia*. Opracowali A. Kuczyński i Z. Wójcik, „Lud”, 1997, t. 84, s. 209-252; A. Kuczyński, Z. Wójcik, *Materiały do bibliografii podmiotowej i przedmiotowej Jana Michała Witorta*, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, 1998, t. 2, s. 153-181; W. Baranowski, *Polskie relacje o rosyjskiej kulturze ludowej (1831-1920)*, „Acta Universitatis Lodziensis” – Folia Ethnologica”, 1985, t. 3, s. 174-178; V. Milius, *Mokslo Draugijos ir Lietuviu Etnografija (XIX a. antroji puse-XXa. Primoji puse)*, Vilnius 1993, s. 98-117.

<sup>2</sup> Praca powyższa ma wprawdzie pośredni związek z polskim ludoznawstwem, jednak ze względu na to, że jest ona ważnym przyczynkiem do etnologii, która wchodzi w zakres programu „Ludu”, nie mniej, że opiera się na autopsji autora, gruntownego znawcy stosunków syberyjskich, została pomieszczona w „Ludzie” (red.). Przypisem tym redakcja „Ludu” opatrzyła artykuł J. Witorta podkreślając jego dokumentacyjną i naukową wartość.

którego zapach roznosi wiatr po całym stepie, tam dalej, jak śnieg na słońcu, błyszczą sołoncezaki, a jeszcze dalej na skraju horyzontu występują skały, przednia straż Gór Ałtajskich. Nim skwar południowy minie, zdaje się, że wszystko wymarło, schowało się pod kurhanami rozsianymi wśród stepu. Lecz niech zbliży się wieczór, niech promienie słońca padną ukośnie, a jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienia się krajobraz. Cudowna gra światła przemienia skały w fantastyczne zamczyska o niezliczonych basztach i wieżach, a głosy zwierząt składają się na przedziwny koncert stepowy. Podnosi się ożywczy wietrzyk... Toteż mieszkańcy miast stepowych nie mogą nachwalić się stepu, tęsknią za nim, gotowi nawet koczować, byle tylko żyć w stepie, oddychać jego świeżym powietrzem, pieścić się tymi obszarami niezmiernymi, jakby stworzonymi dla życia koczowniczego. Kto był w stepach, kto oddychał ich powietrzem, patrzył na te bezmiary, ten zrozumie niezawodnie to dziwne uczucie, które nie pozwala pozostawać długo na jednym miejscu i ciągnie ustawicznie w dal... w dal...

Wiadomo zresztą, że od wieków stepy Azji Środkowej budziły podobne uczucia... Od jak dawna ród ludzki pamięta, mieszkający w stepach ludy koczownicze; jedne ustępowały, inne zajmowały ich miejsce. Niektóre wylewały się poza obręb stepów nosły na zachód i na wschód śmierć i zniszczenie, a potem wracały do stepu i zupełnie znikły; inne znowu zdobywały nową ojczyznę i zapomniały o swej kolebce; inne zaś znikły doszczętnie i już nikt nie potrafi wskazać tych miejscowości, w których niegdyś one koczowały.

Dziś głównym plemieniem koczującym w stepach Azji środkowej są Kirgizi. Od „dachu świata”, Pamiru, aż do wielkiej drogi syberyjskiej, od Orenburga aż do północno-zachodnich granic Mongolii koczują oni, a na północy tej ogromnej przestrzeni stanowią przeważną część ludności. Jakim jest pochodzenie Kirgizów, dotąd nie wiadomo; jedni utrzymują, że są oni osobnym plemieniem fińsko-mongolskiego szczepu; wedle innych zaś stanowią zlepek rozmaitych plemion, które kiedyś w stepach koczowały. Sami Kirgizi niewiele o swoim pochodzeniu wiedzą; jedni twierdzą, że pochodzą w prostej linii od psa rudego i 40 dziewcząt (*krk – 40 kyz*), lub że są potomkami 18 starożytnych bohaterów, których czczą jako protoplastów 18 głównych rodów kirgiskich.

Pewnym jest, że Kirgizi należą do szczepu fińsko-mongolskiego oraz że kolebką ich jest lewy brzeg Syr-Darii, skąd stopniowo rozlali się po całym obszarze dziś przez nich zajęтым. Północno-wschodnia część stepów kirgiskich, dzisiejszy Kraj Siemipałatyński, był zamieszkały przez Dżungarów i Kałmuków. Pierwsi w walce z Kirgizami bądź wyginęli, bądź złączyli się z nimi; drudzy zaś posunęli się dalej na wschód, w Góry Ałtajskie lub w granice Chin ku pobratymczym Mongołom. W kraju zaś rozgospodarowali się Kirgizi wraz ze swymi stadami baranów, wielbłądów i koni, prowadząc dalej swe odwieczne życie koczownicze, tak jednostajne, tak zależne od warunków klimatycznych.

Lato, to period rozkoszy dla Kirgizów: upałów nie obawiają się oni, a gdyby nawet skwary dokuczały zanadto, to jurta, lekki, obszerny a wysoki namiot z grubego wołoku, dostarczy zawsze schronienia przed promieniami słonecznymi. Brak wody rzadko daje się odczuwać: Kirgiz zna doskonale swój step, zna wszystkie źródła i studnie i prawie zawsze tak umie się urządzać, że ma wody dosyć.

Na bogatych pastwiskach osłabione i wychudłe stada rychło przychodzą do pełni sił; kłaczki i owce dają dużo mleka, a więc i Kirgiz jest syty i strawa

jego, składająca się przeważnie z mleka zsiadłego (*ajranu*), sera (*kurt*) i *kumysu*, jest zawsze świeżą i zdrową. Lato sprzyja rozjazdom, pozwala odwiedzać znajomych i krewnych, często koczujących o kilkaset wiorst, a towarzyski Kirgiz nigdy nie omieszka skorzystać z tej sposobności; toteż lato można nazwać karnawalem stepowym; latem też odbywają się rozmaite zabawy, wyścigi konne, walki atletów, gody małżeńskie, wybory, sądy itd.

Lecz gdy nastanie zima, gdy spadną śniegi, a zwłaszcza, gdy powstaną straszne *burany* (*buran* – zamieć śnieżna), trwające po kilka i kilkanaście dni, wówczas nastaje „ciężka pora roku”. Niedawno rzeński i ruchliwy koczownik zakopuje się w *kystawie*, lichej lepiance z gliny i chrustu, bez dachu i okien; strawa jego jest nędzna i sprowadza się do resztek sera i małych porcji mrożonej koniny lub baraniny; stosunki ze światem zewnętrznym przerywają się na kilka miesięcy lub są tak trudne, że pomimo nudy i tęsknoty towarzyski Kirgiz nie odważa się opuścić aułu... z obawy wilków i *buranów*.

Jeszcze gorszym jest położenie stad... Dla wielkiej ilości bydła nie sposób zrobić latem dostatecznego zapasu siana. Nieliczne stogi zachowują się na koniec zimy lub początek wiosny. Stada same szukają sobie pożywienia, rozkopując śnieg i żywiąc się zeschniętą trawą zeszlóroczną. Dopóki nie spadnie śnieg głęboki, nim wąwozy i jary nie zostaną zasypane, stada trzymają się nieźle, lecz gdy nastaną *burany*, a zwłaszcza po odwilży straszny północno-wschodni wiatr pokryje cały step grubą warstwą zlodowaciałego śniegu, wówczas następuje straszliwa klęska, nazywana *dżut*. W ciągu kilku dni giną z głodu ogromne stada, a ich właściciel z żonami, dziećmi i domownikami, bezsilny wobec nieszczęścia, patrzy na upadek swego dostatku, na mienie topniejące, jak śnieg wiosenny i bezwładnie wyczekuje nowego gościa – śmierci głodowej. Jednej ciężkiej zimy, jednej gołoledzi wystarcza, by tysiące zamożnych Kirgizów doszło do kija żebraczego, by zaczęła grasować olbrzymia śmiertelność, by ludzie umierali wprost z głodu, jak to się działo w czasie 1882-1883 r., kiedy z powodu *dżutu* padło blisko 3/4 ogółu stad kirgiskich. W samej rzeczy dobrobyt Kirgiza, niemal całe jego życie, pozostaje w ścisłej zależności od stad: barany, wielbłądy i konie zaopatrują Kirgizów we wszystko, co im potrzebne jest do życia: odzież, obuwie, sprzęty domowe a poniekąd i samo mieszkanie wyrabiają oni z wełny, sierści i skór bydłowych; nawet opału *kij* dostarczają im zwierzęta (*kij* – to ubity i wysuszony pomiot barani, który zastępuje w stepach bezleśnych nasze drwa).

Nieliczne i mało rozwinięte rzemiosła kirgiskie przerabiają niemal wyłącznie produkty zwierzęce. Ze skór szyją się duże i małe wory, zastępujące nasze naczynia, z rogu robią łyżki, strzemiona i inne przedmioty drobne, a płasko porzniete i rzeźbione kości służą do inkrustacji małych mebli, zastosowanych do życia koczowniczego. Żelazo było wprawdzie znane już od dawna w stepach, ale do niedawna ceniło się bardzo wysoko; otrzymywano je drogą wymiany z Turkiestanu. Koczownicy otrzymywali je bądź w postaci wyrobów gotowych (zbroje, szyszaki, szable, noże, kotły itp.), bądź też przerabiali na miejscu na ostrza pik i straszne *ajbolty* (mała siekierka osadzona na długiej, gibkiej trzcinie). Z Turkiestanu otrzymywali też Kirgizi tkaniny bawełniane, jedwabne, lżejsze i ozdobniejsze niżli wyroby z grubej wełny owiec stepowych i sukna wielbłądzie. Przy bliższym zetknięciu się z narodem, pod którego władzą dziś zostają, wyroby turkiestańskie powoli zostały wyrugowane przez rosyjskie; wówczas też Kirgizi po raz pierwszy poznali produkt życia osiadłego, a mianowicie

chleb. Chleb, dla nas tak potrzebny, nawet dziś u Kirgizów jest bardzo mało używany, a do niedawna stanowił artykuł zbytku, znany bardzo nielicznym rodzinom, koczującym w pobliżu stałych osad rolniczych. Obecnie spożycie zboża w stepach wzrasta z każdym rokiem i jeśli nadal tak będzie wzrastało, to wkrótce ziarno i mąka zastąpią Kirgizom mleko i mięso. Ten wzrost spożycia zboża pozostaje w bezpośrednim związku ze zmianą warunków ekonomicznych i ogólnym upadkiem dobrobytu koczowników – z jednej strony, z drugiej zaś wytwarza nowe zwyczaje i potrzeby, tudzież przygotowuje powoli podstawę dla zmian w ustroju społecznym Kirgizów, zbliża chwilę, gdy będą oni musieli porzucić obecny tryb życia i stale osiąść na roli.

Zetknięcie się z wyższymi formami kultury i cywilizacji nie pozostaje bez śladu; w dziedzinę starych obyczajów i zwyczajów kirgiskich oraz poglądów wdzierają się powoli nowe zasady ziarna wyższego, ale obcego uspołecznienia, które – być może szybko – usuną uprzednie formy życiowe, nieraz zachowujące ślady zamierchłej przeszłości. A śladów owej przeszłości jest jeszcze dużo, nawet pełnych życia. Tak w życiu społecznym Kirgizów zachowało się dużo pozostałości ustroju rodowego; niektóre z nich są tak żywotne, odgrywają tak znaczną rolę, iż niewątpliwie – rzecz by można – są pamiątkami przeszłości niedalekiej.

Tu zaznaczę, że w odległych miejscowościach bardzo często można spotkać wspólnoty rodzinne złożone z kilku lub kilkunastu *agnatów*, żonatyh i dzietnych, a rządzone przez najstarszego spośród nich; zdarza się niekiedy, że na czele takiej wspólnoty rodzinnej stoi osoba z wyboru jej członków, a nawet, acz bardzo rzadko, kobieta wdowa. Człowiek obcy, osiadając w stepie, udaje się pod opiekę jakiego bądź wpływowego Kirgiza, który go zalicza do swego rodu i uważa za krewniaka; ta okoliczność nadaje mu wszelkie prawa istotnego członka rodu.

W sferze stosunków majątkowych szczątki organizacji rodowej zachowały się w szczodrej pomocy biednym krewnym (zwyczaj dawania na lato koni i owiec bez wynagrodzenia), w prawie służącym każdemu Kirgizowi brać w razie potrzeby np. konia, by ścigać złodziei, w nieograniczonej gościnności, wspólnej wypłacie *kunów* (grzywien) i *kałymu* (zapłaty za żonę); w razie nieszczęścia lub niebezpieczeństwa pomoc wzajemna dla członków rodu jest obowiązkiem. W prawie karnym spotykamy wyraźne ślady zemsty rodowej i krwawiny. Do dnia dzisiejszego zachował się jeszcze zwyczaj *tamyrstwa*, tj. zbratania się dwóch rodzin lub osób, które ustanawia jak najściślejsze związki braterskie. W ogóle i dziś nawet żyją wspomnienia o wspólnym pochodzeniu, o wspólnych okrzykach bojowych oraz sprawach i interesach. Dziś nawet każdy Kirgiz wie doskonale do jakiego rodu należy; niektórzy z nich potrafią nawet wyliczyć wszystkie rody kirgiskie w stepach, wskazać ich protoplastów i genealogię pierwotną.

Do pozostałości czasów dawno minionych należy lewirat, chociaż dziś tło jego jest ekonomiczne. Wszakże ustrój rodowy należy już do przeszłości, natomiast panuje niepodzielnie patriarchyat. Patrząc na rodzinę kirgiską zda się, że widzisz owych patriarchów biblijnych Abrahama i Jakuba, mających po kilka żon i rządzących samodzielnie losem domowników. Rodzina kirgiska składa się z głowy, jego żony lub żon, dzieci, niekiedy krewnych i domowników; mienie stanowi jej część nierozdzielna. Głową rodziny jest zwykle ojciec; posiada on prawa niemal nieograniczone. Żona jest jego własnością, która po jego śmierci dostaje się w spadku bratu; dopóki jednak mąż żyje, mocen jest robić ze

swoją żoną, co mu się podoba, nie oglądając się ani na przyszłość, ani na prawa swych bliskich *agnatów*. A prawa męża są bardzo obszerne; rozciągają się one na osobę żony i na jej majątek. Mąż ma prawo wymagać, by żona żyła z nim razem, dzieliła jego losy, prowadziła gospodarstwo itd., słowem była jego służką pokorną; w razie najmniejszego wykroczenia może on karać żonę dowolnie, byle tylko nie znęcając się i nie kalecząc jej ciężko. Oryginalnie zwyczaje kirgiskie określają pojęcie znęcania się: mąż może chłostać żonę, ile się podoba i jak się podoba, byle tylko w jurcie (w namiocie), ale uderzenie nagiej kobiety poza jurta – to znęcanie się; znęcaniem się będzie też przypiekanie żelazem rozpalonym ciała żony itd. Oderwanie albo urznięcie ucha, wywichnięcie nogi lub ręki – to kalestwa lekkie, które nie są powodem do skarg... wedle prawa zwyczajowego. Karnej represji podlega mąż tylko za zabójstwo żony i ciężkie poranienie lub okaleczenie; pozywać go do sądu mogą ojciec żony lub w ogóle jej krewni. Wypadki podobne zdarzają się jednak bardzo rzadko; usuwa je możliwość i łatwość rozwodu, który zależy wyłącznie od woli męża: dość mu trzy razy powiedzieć żonie: „idź precz!” (*sin talak*) a już rozwód gotów! Rozwiedziona powraca do swojej rodziny i może wyjść za mąż. Jeżeli mąż nie zgadza się na rozwód z żoną, a obchodzi się z nią źle, to jej krewni robią mu pewne przedstawienia i skłaniają do zmiany postępowania, co nieraz odnosi skutek pożądaný; wszakże nie mają te uwagi żadnej sankcji zwyczajowej. Jeżeli Kirgiz ma kilka żon (maksimum 4), to postępowanie jego nie ulega zmianom zasadniczym, bo każda prowadzi gospodarstwo oddzielne; tylko żona pierwsza – *bijbacze* – cieszy się większym szacunkiem. Nawiasem mówiąc, wielożeństwo wśród Kirgizów chyli się do upadku; liczba żon, dawniej nieograniczona, została dziś sprowadzoną do 4, co nie ma jednak znaczenia poważnego, z powodu łatwości rozwodów. Nierównie większe znaczenie mają czynniki ekonomiczne, zwłaszcza *kałym*, bez którego wypłaty nie można dostać żony; toteż wielożeństwo jest dziś dostępnym tylko Kirgizom bogatym. Zresztą i publiczna opinia kirgiska zaczyna je potępiać... Dodam jeszcze, że mąż ma prawo sprzedać lub wydzierżawić żonę, przelewając na dzierżawcę wszystkie swe prawa; zdarza się to już bardzo rzadko i jak się zdaje tylko za zgodą żony.

Mienie żony (*dżasan*) zlewa się z mieniem rodziny męzowskiej, ona zaś traci doń wszelkie prawa; wyjątek stanowi tylko szczególny strój głowy, *sankele*, ozdobiony perłami, koralami, złotem i drogimi kamieniami, którego wartość niekiedy parę tysięcy rubli wynosi. Strój ten stanowi bezwarunkową własność żony i w razie bezpotomnego jej zejścia ze świata zwraca się rodzinie. Resztą mienia żoniego mąż rozporządza zupełnie dowolnie; nawet gdy żonie zagraża głód, wówczas tylko krewni mogą robić swoje uwagi i prosić męża o oszczędność.

Wszakże w czasach ostatnich żony zaczynają nabywać niejakich praw do majątku męzowskiego. Tak np. wdowa bezdzietna, jeżeli nie ma kogo poślubić spośród krewnych męzowskich, wraca do rodziny i otrzymuje 1/6 część majątku męża. Zdarza się, że krewni pozwalają wdowie zabrać najmłodsze dziecko, jeśli ono nieodłączone, oraz 1/8 część mienia. Nareszcie przy rozwodzie zwyczaj dziś każe dać żonie wielbłąda, konia, pościel i część mienia.

Władza głowy rodziny nad jej młodszymi członkami jest daleko większą niż władza męża nad żoną. Do niedawna ojciec posiadał prawo życia i śmierci w swych rękach; dopóki nie zniesiono niewolnictwa w stepach mógł ich sprzedawać dowolnie. „Syn przed ojcem, jak niewolnik przed panem” (*atały ul, kożały kuł*) – mówi przysłowie kirgiskie, charakteryzując stosunek syna do ojca. Jak niewolnik

względem pana ma tylko obowiązki, nie zaś prawa, tak i syn w stosunku do ojca; winien on tylko ślepo spełniać rozkazy ojca, uważać go niemal za wcielenie bóstwa; jego los zależy całkiem od woli ojca; słowem ojciec jest panem wszechwładnym. Jeżeli dziś nie może zabić syna lub sprzedać go w niewolę, to ma prawo trzy razy wynająć go osobom postronnym, pobierając jego zasługi. W granicach, zakreślonych prawem karnym, zwyczaj pozwala ojcu nie tylko bić syna, nawet dorosłego, chłostać go, więzić, głodzić, zakuwać w kajdany, wypędzać z aulu i wydziedziczać, ale nawet najmniejsza skarga ojca na syna znajduje zupełne uwzględnienie w sądach ludowych (*bijów*), które, nie roztrząsając sprawy, skazują syna na kary najsurowsze. Skargi syna na ojca nigdy nie są uwzględniane przez sądy *bijów*. Do niedawna za obelgę czynną ojca spotykała syna kara następną: rozebranego do naga oprowadzano z powrozem na szyi po aulach i bito nahajami, wymieniając winę. Dziś kary tej zastosować nie można, ale wedle zdania *bijów* jest ona zupełnie słuszną i sprawiedliwą, przeto sądy, nie mogąc jej stosować, uchylają się od rozstrzygnięcia spraw o czynne obelgi rodziców, przekazując je krewnym pokrzywdzonego. Dodam wreszcie, że prawo rodziców co do życia dzieci niezupełnie jeszcze zatarło się; dotąd występuje ono w formie zabójstwa słabych dzieci, by za pomocą denuncjacji fałszywej zwalić odpowiedzialność za ich śmierć na ród wrogi, co praktykuje się często. Wreszcie ojciec zaręcza syna, zwykle niemowlęciem jeszcze, a w wyborze przyszłej synowej kieruje się wyłącznie pobudkami materialnymi. Zdarza się, że krewni starają się drogą namowy skłonić ojca, by dał synowi coś ze swego mienia i rozstał się z nim; w jednym tylko wypadku, tj. gdy ojciec ożenił się powtórnie i żyje z macochą, syn ma prawo żądać wydziału części mienia ojcowskiego. Sądy ludowe zwykle nie odmawiają w tych razach swej pomocy.

Wcale inne jest położenie córki; do rodziny należy ona tylko czasowo, do zameścicia. Już od urodzenia córki ojciec marzy o otrzymaniu za nią zapłaty (*kałymu*), poszukuje dla niej męża i często zawiera umowę o jej sprzedaż, gdy spoczywa ona jeszcze w kolebce; często pobiera nawet częściami za nią *kałym*. Córka dla rodziców staje się więc jakby obcą; zadaniem ich jest wychować ją, nauczyć gospodarstwa kobiecego i wreszcie oddać ją wraz z wyprawą przyszłemu mężowi. Ojciec oznacza tylko wysokość *kałymu* i wyprawy; całe wychowanie zaś należy wyłącznie do matki, która za postępowanie córki jest odpowiedzialną przed mężem. Matka obchodzi się w ogóle z córką bardzo łagodnie i delikatnie; młoda Kirgizka nie zna, co to chłosta, która tak często spotyka jej rówieśniczki chrześcijańskie; w razach ostatecznych matka poprzestaje na szturchańcu lub wytarganiu za uszy czy włosy. Prawo zwyczajowe kirgiskie zaleca wielką łagodność w postępowaniu z dziewczętami: „ojciec bije syna, by go poprawić, matka córkę – by zepsuć” (*ake urgan ul ungar czysze urgan kys unbas*) mówi przysłowie. W ogóle położenie dziewczyny w rodzinie jest wcale znośne; nawet przekroczenia zwyczajowe nie pociągają dziś zbyt przykrych skutków.

Prawa majątkowe ojca rodziny względem dzieci są różne. Ojciec obowiązany utrzymywać córkę do zameścicia; po zameściciu zaś córka obowiązana dać mu pewne podarki oraz utrzymywać matkę, jeżeli ta nie ma synów i środków do życia. Syn zawsze jest obowiązany utrzymywać rodziców; ojciec zawsze ma nieograniczone prawo do jego majątku; każdą rzecz syna może wziąć na własny użytek, byle nie oddawać osobie trzeciej. Nie ma on żadnego prawa do synowej; jedną tylko chwilę w czasie ceremonii ślubnej widzi jej twarz, a potem nie powi-

nien jej nawet znać; toteż zwykle świekier nie zna swojej synowej pomimo tego, iż całe lata mieszkają razem w jednym aule. Pożycie miłosne świekra z synową (świekrowstwo, *snochaczestwo*), tak rozpowszechnione na Syberii, Kirgizom jest zupełnie nieznanym. Do rodziny niekiedy należą i zięciowie; zdarza się, że Kirgiz nie mający czym zapłacić *kałymu*, przyłącza swoje stada do stad Kirgiza, którego córkę ma zaślubić; zaślubia ją nareszcie i wchodzi w pewien zależny od teścia stosunek. Zwyczaj ten nazywa się *kuszk-jow*, spotyka się rzadko i nie cieszy się sympatią Kirgizów: „lepiej być psem nie przywiązany, niżli zięciem zależnym od teścia” (*kałudagy kijsnden kargysy džok tazy artyk*) głosi przysłowie.

Ze względu na warunki życia koczowniczego Kirgizi wielce dbają o zachowanie stosunków przyjaznych z innymi rodzinami; sama istota położenia zmusza ich do tego. Rozumie się, że w rodzinie patriarchalnej wszystko zależy od jej głowy, przeto Kirgiz zawsze stara się zawiązać dobre stosunki tylko z głową innej rodziny; rzeczywiście nigdy nie omieszka korzystać z najmniejszej okoliczności w tym celu. Niekiedy pomiędzy głowami rodzin wywiązuje się prawdziwa konkurencja i dyplomaci stepowi zużywają dużo przebiegłości i chytrych oprócz cennych podarków, by zawiązać stosunki przyjazne z Kirgizem wpływowym a możliwym. Zwyczajowo wyrobiły się pewne formy stałe tych stosunków, zwane z kirgiska *tamyrstwem*. Związek taki zobowiązuje do podarków wzajemnych i winien trwać całe życie bez przerwy: „woda precedzona nie ustaje się, a kość z kością nie rozłącza się” (*su suselmejde, snek uselmejde*) mówi przysłowie. Ta forma *tamyrstwa* zowie się *snek tamyrstwo*. Najwyższą jednak formą jest *doz tamyrstwo* tj. przyjaźń wieczysta, którą ustanawiają dwaj mężczyźni uściskając się obnażonymi piersiami (*kuszak taskan*) lub pociągając za duży palec (*barmak uż taskan*). Ta forma przyjaźni przechodzi z pokolenia w pokolenie i kończy się zwykle związkiem małżeńskim pomiędzy potomkami pierwszych *tamyrów*. Wkłada ona na obie strony obowiązki tak wielkie i święte, że je chyba można przyrównać do obowiązków braci rodzonych... wedle pojęć Kirgizów. *Doz tamyrstwo* może być zawarte nawet z nie Kirgizem, nawet z kobietą, byle nie Kirgizką. Najniższa forma *tamyrstwa ans tamyr* daje tylko prawo do podarków wzajemnych, bez żadnych innych obowiązków i ograniczenia co do czasu.

Współczesne małżeństwo Kirgizów jest instytucją złożoną z różnych pozostałości szczątkowych i nawarstwień historycznych, które nie zwały się dotąd zupełnie. Pomijając takie zabytki zamierzchłej przeszłości jak obrzęd porwania oblubienicy, należy podkreślić trzy główne składniki małżeństwa: ludowe prawo zwyczajowe, wpływ prawodawstwa mahometańskiego i koranu oraz oddziaływanie kultury i cywilizacji rosyjskiej, a zwłaszcza prawodawstwa cywilnego. Wpływy rosyjskie wyrażają się głównie w zastosowaniu do życia codziennego nowych poglądów na kobietę, na prawo dowolnego rozporządzania jej osobą itd. Wpływy te datują się od niedawna, ale potęga ich wzrasta coraz bardziej.

Wedle starego prawa zwyczajowego, pochodzącego, jak głosi podanie, z czasów chana Tanke, wiek zawarcia małżeństwa określał się dla mężczyzn na lat 15, dla kobiet zaś – 16; wymaganie większej dojrzałości fizycznej od kobiet tłumaczy się warunkami życia koczowników, w którym cały ciężar robót domowych i gospodarczych spada wyłącznie na kobietę. Z czasem atoli ograniczenia wieku osób wstępujących w związki małżeńskie straciły wszelkie znaczenie; dziś żadnych ograniczeń nie ma. Małżeństwa wczesne spotykają się dość często; tłumaczą się one chęcią prędszego otrzymania *kałymu*, spokrewnienia się z rodem wpływowym, posiadania robotnicy bezpłatnej u biednych itd.



Stare i nowe prawa zwyczajowe różnią się z sobą co do zakazów małżeństwa pomiędzy krewnymi i powinowatymi; pierwsze bezwarunkowo zakazywały związki małżeńskie (!) do 7 pokolenia, drugie zakazują je tylko pomiędzy krewnymi w liniach wstępnym i zstępnej oraz w liniach bocznych do trzeciego stopnia; nie wolno też poślubić macochy, pasierbicy, synowej i teściowej; małżeństwo z siostrą i córką jej brata jest zakazane, jeżeli żona żyje. Małżeństwo pomiędzy stryjecznym lub cioteczным rodzeństwem jest dozwolone.

Małżeństwo zawierają Kirgizi prawie zawsze na mocy wzajemnej umowy pomiędzy głowami dwóch rodzin lub naczelników rodu; na zgodę oblubieńca i oblubienicy nie zwracają najmniejszej uwagi; zresztą bywa często, że obie strony znajdują się w dzieciństwie. Tylko w ostatnich czasach w powiecie siemipalałyńskim zaczyna rozpowszechniać się zwyczaj, na mocy którego oblubienica starsza o lat 6 od oblubieńca, nie może być zmuszona do poślubienia go. Wypadki zerwania umowy przedślubnej zdarzają się bardzo rzadko, bo narażają zrywającego na ciężkie straty materialne.

Koniecznym warunkiem wesela kirgiskiego jest swatanie, które ciągnie się niekiedy przeszło 10 lat a jest połączone z masą oryginalnych zwyczajów. Składa się ono z mnóstwa aktów poszczególnych, rzecz można stopniowo zwiększających odpowiedzialność materialną za zerwanie umowy. Pierwszym aktem swatania jest umowa wzajemna pomiędzy ojcami oblubieńca i oblubienicy; umowa ta określa szczegółowo wysokość *kalymu* oraz sposób i termin wypłaty. Ojciec chłopca winien złożyć ojcu dziewczyny podarek, zwany *kargaban*. Zerwanie umowy pociąga skutki następne: ojciec oblubienicy zwraca podarek i płaci karę, ojciec oblubieńca traci *kargaban*. Rozumie się, że umowa ta zawiera się publicznie, przy licznych świadkach, jak zwykle u Kirgizów.

Drugim aktem są oświadczenia formalne, które łączą się zwykle z jak największym przepychem; robią się one przez swatów – *kudelarów*. Ilość swatów zależy od zamożności oblubieńca; niekiedy dochodzi ona do 20 osób. Swaty, jadąc do aulu oblubienicy, zatrzymują się w najbliższym aule u krewnych oblubieńca i wówczas zawiadamiają o swoim przybyciu. Ojciec dziewczyny natychmiast zawiadamia swoich krewnych i przyjaciół, zaprasza ich do siebie, buduje jurty dla swatów i naznacza dzień ich przyjęcia. W oznaczonym terminie przyjeżdżają swaty i w obecności zebranych gości – świadków – proszą o rękę córki gospodarza. Oświadczenia przyjmują się i natychmiast uświęcają się zarznięciem białego barana i odmówieniem modlitwy. Potem następują uczty i zabawy trwające czasami dni kilka. Uczty składają się przeważnie z gotowanej baraniny, koniny, kumysu, herbaty itd., zabawy zaś – z wyścigów konnych (*bajgi*), walki siłaczów, śpiewów chórów męskich i żeńskich oraz muzyki. W czasie tej uroczystości, zwanej *toj kuda tinser*, przedmiotem powszechnych żartów i drwin są swaci; młode mężatki i dziewczęta prowadzą ich do studni, oblewają wodą, zaprzęgają do wozów, zmuszają wozić siebie itd. Chwila rozpląty – to uczta ostatnia, na której podają potrawę symboliczną *baur kajriuk*.<sup>3</sup> Sporządza

<sup>3</sup> *Baur* – wątroba w przenośni oznacza też braci rodzonych i stryjecznych, przeto jedząc ją wspólnie swaty stają się niby braćmi; tłuszcz i ser – główne produkty pasterstwa – wskazują jakby zamianę wzajemną stad; barwa biała – to oznaka radości. Ale ta potrawa posiada też znaczenie prawne: w sądach ludowych – *bijów* – służy ona za dowód stanowczy swatostwa; jeśli świadkowie stwierdzą, że ją jedli, fakt uważa się za zupełnie udowodniony.

się ona z wątroby i tłuszczu białego barana, zarzniętego na początku uroczystości oraz *kurtu* (gatunek sera). Potrawą tą swaty częstują gospodarzy i ich krewnych, podając ją na dłoni oraz starając się obmazać nią twarz częstowanej osoby; wówczas powstaje popłoch niemały, śmiech, krzyki... Pod koniec uczyty ostatniej, ojciec oblubienicy rozdaje swatom podarki, zwane *kyit*; ich wartość u bogatych jest bardzo znaczna. Trzeba zauważyć, że wartość podarków, które otrzymuje każdy swat, zależy od jego zamożności i pochodzenia; wyjątek stanowi tylko ojciec oblubieńca, który otrzymuje podarek najcenniejszy, chociażby nie należał do osób bardzo szanowanych. Jeśli on jest nieobecny, to podarek przysyłają mu przez swatów.

Trzecim aktem swatania jest wypłata *kałymu*. *Kałym* jest to zapłata, którą oblubieniec przy pomocy swego rodu składa ojcu oblubienicy, wysokość jej zależy od rozmaitych okoliczności obu rodzin, swatów, pochodzenia itd. w ogóle wysokość *kałymu* ze strony maksymalnej wzrasta, minimalnej zaś – zmniejsza się. Dawniej *kałym* dzielił się na trzy stopnie: *domalakkrk* – *dżety* (47 trzechletnich klaczy), *otuz dżety* (37 klaczy) oraz *dżygirma dżety* (27 klaczy). Do najwyższego *kałymu* dodawano dwie dopłaty: *bas-dżaksy* i *ajak-dżaksy*; dopłaty te wzrastając ustawicznie doszły już do wartości 5 i 4 wielbłądów. Dziś ojciec oblubieńca, płacąc najwyższy *kałym*, daje nie 47 klaczy trzechletnich lecz 32 koni dorosłych i 9 wielbłądów; ponieważ wartość jednego wielbłąda równa się wartości 5 koni, przeto najwyższy *kałym* wynosi 77 koni i nazywa się *dżaksyły-krk-dżety*. Często jednak przekracza tę granicę i wynosi np. u bogatych 100 wielbłądów czyli 500 koni. Najniższym *kałymem* dziś jest *on-dżety* czyli 17 koni, ale często zdarza się, że u biednych spada do 2 koni. Wartość *kałymu* to chluba Kirgizów, przeto obie strony starają się go określić jak najwyżej. Odrabianie *kałymu* nie zdarza się wcale; trafia się jednak, że oblubieniec ubogi przyłącza swe stado do stad bogatego Kirgiza.

Po formalnych oświadczeniach ojciec oblubienicy ze swymi swatami stosownie do warunków umowy jedzie do aułu oblubieńca po *kałym*. W czasie tych odwiedzin zachowują się te wszystkie ceremonie i obrzędy, które odbywają się przy nawiedzaniu aułu oblubienicy przez swatów oblubieńca; różnicę stanowi to, że w czasie uczyty nie podaje się *kujriuk baur*; oprócz tego swaty oblubienicy otrzymują podarki tańsze, mniej warte niż swaty oblubieńca. *Kałym* wypłacają publicznie w końcu uroczystości... stosownie do umowy bądź w całości bądź częściowo, w każdym razie uroczystości owe nie powtarzają się, gdy swaty przyjeżdżają po częściowe wypłaty *kałymu*. Składają się nań nie tylko rodzice oblubieńca, ale i jego ród tudzież swaty; udział ostatnich tym jest większy, im cenniejsze są podarki otrzymane od ojca oblubienicy.

Znaczenie swatostwa u Kirgizów jest bardzo wielkie; raz zawarta umowa musi być koniecznie dotrzymana, to uważa się za święte. Wedle prawa zwyczajowego dwa tylko powody unieważniają ją: nieuleczalna choroba lub kalectwo oblubieńca czy oblubienicy, ukryte przed drugą stroną oraz oszustwo oblubieńca, np. jeżeli będąc biednym wydał siebie za bogatego.

Do tych dwóch powodów w czasach ostatnich dołączono trzeci: można zerwać umowę, jeżeli oblubienica jest o sześć lat starszą od oblubieńca. Zdarza się to wówczas, gdy dziewczyna po śmierci pierwszego oblubieńca ma poślubić jego brata młodszego, albowiem nawet śmierć nie prowadzi do zerwania umowy. Jeżeli oblubieniec zmarł, to oblubienica musi poślubić jego brata niezona-

go lub najbliższego krewniaka w liniach bocznych: *aga ulse-dżenga muras*; *at ulse-sauri muras*, tj. jeśli umrze brat, to bratowa – dziedzictwo, jeśli zdechnie koń, to skóra – dziedzictwo – mówi przysłowie kirgiskie.

W razie śmierci oblubienicy jej miejsce zastępuje siostra młodsza lub krewniaczka. Jeżeli siostry zmarłej są małe, a oblubieniec ma braci w wieku odpowiednim, to jedna z nich poślubia jednego z braci oblubieńca. *Kałym* zwraca się tylko wówczas, jeżeli nie ma kogo dać za żonę w zamian zmarłej. Na wolę osób mających wstąpić w związki małżeńskie nie zwraca się najmniejszej uwagi. Jeżeli dziewczyna nie chciała poślubić mężczyzny, który ją kupił, to bez najmniejszej ceremonii zmuszano ją gwałtem. Dziś stan rzeczy nieco się zmienił, mimo to jednak matka w razach podobnych nie szczędzi wcale swej córce chłosty... Zresztą przymus fizyczny powoli ustępuje miejsca systemowi kar pieniężnych i wynagradzania cywilnego. Jedynym wyjściem jest ucieczka, ciężkie przestępstwo wedle prawa zwyczajowego. W ogólności tylko ojciec może rozpocząć sprawę o porwaniu córki; sprawy podobne zawsze wywołują walkę rodową wraz z nieskończonymi najazdami, grabieżami, procesami itd.

*Kałym* już wypłacono bądź w całości, bądź w większej części, ale obrzęd weselny następuje nie zaraz: rodzicom narzeczonej daje się znaczny przeciąg czasu na sporządzenie córce wyprawy – *dżasan*. W tym czasie oblubieniec może odwiedzać oblubienicę; te odwiedziny niby są potajemne, chociaż w rzeczywistości odbywają się jawnie. Pierwsze z nich – *urun kielu* – ma największe znaczenie i oryginalną stronę obrzędową. Jadąc pierwszy raz do oblubienicy, oblubieniec zabiera cały orszak, który składa się z Kirgiza leciwego a szanowanego – *otagosy* oraz najrzeczniejszych jeźdźców. Cała ta gromada zatrzymuje się w aule najbliższym i zawiadamia rodziców oblubienicy o swoim przybyciu, wyczekując zaproszenia. W aule oblubienicy budują jurty dlań, ale w znacznej odległości od innych; swachny zaś konno spieszą zaprosić oblubieńca; ta która pierwsza zawiadomi go otrzymuje znaczny podarek zwany *czaup-kielidy*. Po czym wszyscy jadą do aulu i zatrzymują się przy jurcie, wystawionej dla oblubieńca a otoczonej przez kobiety, które wyczekują podarków – *czatyr-najgozy*.

Oblubieniec wszedłszy do jurty natychmiast posyła matce, babce i siostrą oblubienicy podarki zwane *ilu*. Składają się one z wielbłądów, jambów, materii jedwabnych itp. Najdroższy podarek otrzymuje matka, potem babka itd. W ogóle wartość podarków maleje z oddaleniem stopnia pokrewieństwa. Oprócz *ilu* oblubieniec posyła jeszcze trzy rodzaje podarków: *kade*, *ujge-krer* oraz *dżartys*: pierwsze żonom braci i stryjów oblubienicy, drugie – samej oblubienicy, a trzecie – jej innym krewnym. Podarki te odgrywają rolę tak poważną, że wedle kirgiskiego przysłowia małżeństwo może być zawartym raczej bez *kałymu*, niż bez nich; oprócz tych podarków istnieje masa innych, acz bardzo drobnych. W orszaku oblubieńca zawsze jest jedna osoba – *kjen-dżygit*, która zawiaduje ich rozdawaniem; tylko *dżartys* matka oblubienicy rozdaje wedle własnego uznania.

Po przyjęciu podarków rozpoczyna się uczta – *toj*, która trwa cały dzień; oblubienica ucieka od rodziców i kryje się w najbliższym aule u krewnych. Wieczorem w owym aule urządza się ucztę z udziałem swach, jej przyjaciółek i przybyłych orszaku, ale bez oblubieńca. W tym czasie matka panny posyła gospodyni aulu, w którym przebywa jej córka, podarek zwany *kыр-kazar*; przynosi go oblubieniec w tym celu, by ją uwolniono. Rzeczywiście przed świtem gospodyni aulu stara się oddać oblubienicę swachnom, ale przyjaciółki nie wydają.

Rozpoczyna się walka zwana *tartys* (tj. przeciągać się). Nareszcie przyjaciółki otrzymują podarek – *alym* i wydają oblubienicę, która w ich towarzystwie wraca do jurty rodzicielskiej. Jedna spośród nich zawiadamia o tym oblubienca, podprowadza go do jurty, w której znajduje się oblubienica i przez kratki drewniane (na nich rozciąga się wołok namiotu) łączy ich dłonie,<sup>4</sup> za co dostaje podarek. Oblubieniec natychmiast wraca do swojej jurty; w aule zabawa zaś trwa aż do dnia. Następny dzień upływa spokojnie; oblubieniec nie opuszcza ani krok namiotu, dokąd swachny przynoszą mu strawę i traktamenty.

Wieczorem w jurcie rodziców oblubienicy, z której się gospodarz wydał, swachny ścielą pościel dla oblubienca i w wielkiej tajemnicy przyprowadzają go, za co znowu dostają od niego podarek *tiusen-salar* (tj. posłać pościel). Oblubienca, gdy wchodzi do jurty, matka oblubienicy obsypuje *urinkiem* (suszone morele i brzoskwinie), *kiszmyszem* (winogrona suszone), orzechami i piernikami, które obecni zbierają; tu zwykle powstaje hałas wielki, śmiech itd.; zwyczaj ten zowie się *czaszu* (sypać). Potem wprowadzają oblubienicę; wszyscy opuszczają jurte i młodzi pozostają sam na sam aż do powrotu rodziców, którzy udają, że nic nie wiedzą. W ten sposób formalnie zachowuje się tajemniczość *urun-kielu*. Uprzednio oblubienica wchodząc do jurty, w której ją oczekiwał oblubieniec, wylewała na żarzące się węgle filiżankę masła roztopionego; obecni kłaniali się nisko a potem przeskakiwali przez płomień, powtarzając: *ot-ana, maj-ana, dżaryłga*, tj. matki nasze ogień i masło, błogosławcie! Zatem odbywała się bardzo złożona ceremonia układania do snu oblubienicy i oblubienca; dziś ona została zaniechana stanowczo, ale pozostał ślad słaby, tj. obowiązek złożenia podarku swachnom, zwanego *kysz-kuszakta*.<sup>5</sup>

Takie wizyty oblubienca trwają kilka dni, przerywane ucztami, wyścigami itd. Przed objazdem ojciec oblubienicy daje orszakowi zięcia podarki – *kyit*, do worków zaś, w których oblubieniec przywiózł podarki, wkładają dary zwane *kapkasalat* (położyć do worka), albo też zwracają niekiedy część wypłaconego *kałymu*. Oblubieniec może odwiedzać aul oblubienicy choć kilka razy... – aż do wesela, które następuje niekiedy bardzo nieprędko, przy każdych odwiedzinach wyżej wspomniane ceremonie i obrzędy przestrzegane są pilnie.

Jeśli zmarł oblubieniec to rodzice oblubienicy przywożą ją do aulu zmarłego i pozostawiają tam na rok, by w żałobie oplakiwała swoją stratę; potem poślubia ona brata zmarłego lub jego krewniaka. Jej rodzice składają rodzicom zmarłego podarki pocieszające – *aza*. Jeżeli zmarła oblubienica to oblubieniec poślubia jej siostrę lub krewniaczkę, dopłacając do *kałymu* z 47 koni 4-5 wielbłądów lub do *kałymu* z 27 koni – wielbłąda i konia; gdy zmarła nie miała ani siostry, ani krewniaczki, którą można by było poślubić, zwraca się połowę wypłaconego *kałymu*.

Okres czasu od zawarcia umowy przedślubnej naznacza się na przygotowanie wyprawy – *dżasan*. W teorii Kirgizka nie ma najmniejszego prawa do *kałymu*, ale faktycznie jej część otrzymuje ona w formie wyprawy; bogaci dają zwykle znacznie więcej niżli otrzymali za córkę, biedni – mniej. Wyprawa składa się wyłącznie z rzeczy użytecznych: odzienia, dywanów, statków gospodarskich itp.; do tego zawsze dodaje się wierzchowca i wielbłąda. Wedle starego

<sup>4</sup> Zwyczaj ten nazywa się *kalus-tatar*, tj. uściśnięcie ręki.

<sup>5</sup> Tj. objęcie dziewicy.

zwyczaju każdą rzecz dawano w dziewięciu sztukach; dziś ten zwyczaj prawie został zaniechany. Tu warto nadmienić, że zwyczaj określa pewną normę wyprawy, Kirgizi nazywają ją naborem. Z tych rzeczy użytkowych ważne znaczenie posiadają tylko *dżelek* i *sankiele*. *Dżelek* – to narzutka z materii czerwonej, którą nosi nowo zaślubiona w ciągu roku, *sankiele* – to wysoki stożek ścięty w wołłoku, z obu stron oklejony suknem czerwonym lub aksamitem a bogato haftowany złotem i srebrem, ozdobiony koralami, perłami i drogimi kamieniami, do którego przypięte są na zewnątrz pióra strusie oraz sznury monet złotych i pereł, sięgające aż za kolana. Jest to strój nader kosztowny a niezgrabny i brzydki; dziś powoli zaprzestają go używać... nawet bogaci. *Sankiele* stanowi wyłączną własność kobiety.

Termin wesela wyznacza ojciec oblubienicy, które odbywa się w każdej porze roku. Wprawdzie duchowieństwo mahometańskie zakazuje odprawiać wesela w miesiącu *Safar-ajt*, który uchodzi za nieszczęśliwy oraz w czasie postu *urazy*, ale na to zwracają mało uwagi. Wesele odbywa się w aule oblubienicy, dokąd przyjeżdżają oblubieniec z orszakiem, który składa się z jednego Kirgiza leciwego a szanowanego – *otangasy* i towarzyszy pana młodego – *kien-dżygitow*. Podarki, które on przywozi teraz różnią się od uprzednio przywożonych nie tylko nazwą, ale i wartością. Oprócz podarków zwanych *dżartys* i *kade*, oblubieniec winien złożyć matce oblubienicy *sind-aky*, tj. dar za wykarwienie jej piersią; winien też przywieźć wołłok na pokrycie jurty nowo zaślubionych – *otan*, oraz przypędzić bydło, niezbędne dla uczty – *toj mał*. Dary owe troskliwie oceniają się.

Potem następuje budowa jurty dla nowo zaślubionych; jej części drewniane daje ojciec oblubienicy a pokrycie zewnętrzne sporządza się z wołłoków przywiezionych przez oblubieńca. Kobiecie, która pokryła jurte dają barana – *otan-dżabar*. Gdy już jurta jest gotowa wówczas szanowane krewne oblubienicy zapraszają do niej oblubieńca, który dotąd mieszkał w jurcie wystawionej dlań przez rodziców oblubienicy. Zaraz też swachny przyprowadzają doń oblubienicę, za co otrzymują podarek – *dzen-getaj*. Mówiąc nawiasem kobiety, które zapraszają do jurty oblubieńca oraz przyprowadzają doń oblubienicę, winny posiadać bardzo liczne potomstwo. Gdy ta wejdzie do jurty oblubieniec winien położyć ją na pościel w obecności swach – *kyr kutierek*, ale może on wykupić się od tego obowiązku składając im dary nieznaczne. Zwyczaj ten daje nazwę pierwszej nocy, spędzonej razem przez młodych za pozwoleniem teścia; noc ta nazywa się *otanga-salar*, tj. położenie jej na wznak. Swachny otrzymawszy dary opuszczają młodych, którzy pozostają sami jedni.

Nazajutrz *otagasy* udaje się do ojca oblubienicy i prosi go o wyznaczenie dnia uwolnienia córki do aulu jej męża przyszłego. W wigilię dnia tego rzną bydło, przypędzone przez oblubieńca oraz odbywają wyścigi z nagrodami, które wyznacza ojciec oblubienicy.

Gdy mężczyźni udadzą się na wyścigi, wówczas kobiety uzbrajają się w *su-july* (maczugi), *ajbałty* i wszelką broń, która się znajdzie i wyczekują ich ukończenia. Młodzież wracająca z wyścigów otacza konno jurte państwa młodych – *ataul* i stara się zerwać z niej *tiundiuki*, tj. wołłoki pokrywające. Kobiety wybiegają z jurty, bronią ją, biją napastników, a jeżeli złowią jednego z nich, to wciągają do wewnątrz jako jeńca; często nie obchodzi się i bez kalectwa. Gdy wszyscy się zmęczą, gdy kobiety stracą nadzieję obronienia jurty, wówczas zaczynają błagać napastni-

ków i starają się przeciągnąć ich na stronę darami. Teraz rozpoczyna się śpiew, kobiety i część młodzieży, zostająca w jurcie, zaczyna pieśń monotonna, smutną, której każda zwrotka kończy się słowami: *džaar-džar!* Słowa i melodia improwizują się, ale treść pozostaje zawsze jednakową: wychwala ona oblubienca i oblubienicę oraz pociesza ostatnią z powodu bliskiej chwili opuszczenia aulu rodzicielskiego.

W tym czasie oblubienica siedzi sama jedna w jurcie i słucha śpiewu, dopóki jej się nie sprzykrzy; by ten zamilkł musi złożyć podarki śpiewakom i śpiewaczkom. Wieczorem zapraszają oblubienca. Zjawia się on ze swymi śpiewakami; mężczyźni i kobieta siadają parami i znów zaczyna się śpiew chóralny. Chór męski wychwala kobiety, kobiety zaś mężczyzn; każdy chór po kolei śpiewa po strofie, improwizowanej na poczekaniu. Powoli pochwały ustępują miejsca naganom; o świcie już oba chóry wymyślają wzajemnie. Chór, który okaże się zdolniejszym w wymyślaniu składa stronie przeciwnej podarki drobne. Zwyczaj ten nazywa się *kulmende*, tj. moja wina. Tak upływa cała noc, w czasie której oblubieniec i oblubienica nie śpią wcale. Po ukończeniu śpiewów młodzież zbiera się w jurcie pp. młodych, je baraninę, pije kumys, a kręgi baranie oddaje oblubieńcowi, który przywiązawszy do nich chustkę, rzuca do otworu jurty; jeżeli chybi, to chustka należy do kobiet. Nazajutrz swachy zbierają się od samego rana w jurcie pp. młodych, ubierają oblubienicę w najlepszą odzież, sadzają na wierzchowca, którego prowadzą za uzdę do jurty jej rodziców; tam żegna się ona z nimi po raz pierwszy.

Po jej wyjściu ojciec pokazuje wyprawę zięciowi i swatom; potem rachują, opakowują i zaraz nią juczają wielbłądy. Wówczas oblubienica po raz drugi żegna rodziców, płacząc; ojciec – wedle zwyczaju – pyta ją, czy nie pozostawiła w aule rodzicielskim jakiejś bądź rzeczy ulubionej. Jeśli odpowiedź brzmi „tak”, to rzecz tę zawsze oddaje się córce.

Teraz dopiero następuje chwila spełnienia aktu religijnego. Państwo młodzi, oddzieleni osobnymi zasłonami, stoją w jurcie rodziców oblubienicy przed nimi i świadkami (po 2 z każdej strony). Zasłona oblubienca podnosi się na chwilę i spuszcza się znowu; wnet to samo robi się z zasłoną oblubienicy. Duchowny mahometański albo osoba zastępująca go odmawia modlitwę i pyta młodych, czy pragną oni wstąpić w związki małżeńskie? Odpowiedź nie jest konieczną, bo milczenie uznaje się za znak zgody; jeśli daje się ona jednak, to winna być wyrażona w czasie przeszłym np. „pragnęłam”. Dawniej w czasie ślubu stawiano naczynie metalowe pełne wody, do którego obecni rzucali srebro, perły i korale, a potem pili ją; naczynie wraz z kosztownościami przechodziło na własność duchownego. Dziś ten zwyczaj prawie został zaniechany.

Po ukończeniu ślubu ojciec zwraca się do swej córki i mówi: *bałam džeman hołma atanga nalet kielteresin*, tj. żyj tak, żeby mię nie przeklinano. Zięciowi zaś powiada: *bałam chorłama kyzynde, atagynde kielteresin*, tj. nie znieważaj żony, tym zgubisz moją sławę. Są to formułki religijne.

Zaraz po ślubie panna młoda udaje się do swojej jurty i tam nakłada strój kobiety zameżnej: *džanluk* – biały ubiór na głowę, *ekczin* – przepaskę na czoło, *sankiele* oraz *dželek* – lekką narzutkę; potem konno w towarzystwie matki jedzie do aulu męzowskiego, przeprowadzana czas niejakiś przez przyjaciółki. Po jej wyjeździe pan młody udaje się do jurty teścia, żegna się z nim a potem dopędza żonę, z którą razem wraca do domu.

Na spotkanie orszaku weselnego wyjeżdżają konno krewniaczki pana młodego, zatrzymują wielbłądy panny młodej oraz nie puszczają ich do aulu, dopóki nie otrzymają wykupu zwanego *tine marunduk* (tj. powód wielbłądzi). Państwa młodych spotykają chóry śpiewaków i śpiewaczek, w ich towarzystwie udają się oni do jurty ojca pana młodego. Przy wejściu panna młoda kłania się im nisko i wówczas jeden ze śpiewaków laseczką podejmuje zasłonę, zakrywając jej twarz, którą ona natychmiast opuszcza. Ojciec pana młodego daje swej synowej podarek – *kuriumdyk*; cały ten obrzęd zowie się *kietyl kuriumdyk*. Upřednio panna młoda padała przed świekrem na kolana, lecz dziś zwyczaj ten pod wpływem mahometaństwa znikł doszczętnie. Po ukończeniu oględzin panny młodej rozpoczyna się uczta trwająca aż po północy; po jej ukończeniu matka panny młodej wraca do swego aulu i wówczas ojciec pana młodego składa jej podarki – *kyit* dla niej osobiście, swata i jego krewnych.

Przechodzę do skreślenia słów parę o zwyczajach, dziś na pół zapomnianych a pozostających w ścisłym związku z obrzędami weselnymi. Zwyczaj *dżenge*, o którym niżej, zachował się dotąd, acz w formie zmienionej. Dawniej wyrażał się on tak w pierwszą noc poślubną, którą młodzi spędzali razem, na pościel ich kładziono kawałek białej materii jedwabnej – *nekle dżemtyk*. Naza-jutrz, gdy młodzi opuścili jurtę wchodziły swachny, zabierały kawałek materii białej i oddawały matce panny młodej, która obdarzała ich !/; tymczasem ogłaszano w całym aule, że panna młoda okazała się cnotliwą. Jeżeli zaś stradała swój wianek w czasie *urum kielu*, to pan młody winien był powiedzieć o tym swachom, które powtarzały jego słowa matce i aulowi całemu. Wówczas przyjaciółki panny młodej napadały na pana młodego, który musiał wykupić się, składając pewne podarki.

Jeżeli panna młoda nie zachowała czystości dziewiczej, to narzeczony mówił o tym swachom, które zawiadamiły jej matkę o tym nieszczęściu, córce zaś w jej imieniu oświadczały, że swym postępowaniem sprawiła matce dużo przykrości oraz „zrobiła twarz czarną”. Zatem swachy wyszukiwały winowajcę i sprawa kończyła się w sądzie *bijów*, który skazywał winnego na odszkodowanie dla męża. Oprócz tego ojciec panny młodej bił swoją żonę za brak dozoru nad córką. Jeżeli okazało się, że sami rodzice byli winni, np. jeżeli sprzedali swoją córkę na kilka dni, to pan młody mógł zażądać jej siostry młodszej lub zwrotu *kałymu*. Zwyczaj zachowane w tych wypadkach zwały się *katym czekty*, tj. babą za mąż wyszłą. Dziś zwykle, gdy pan młody znajdzie pannę młodą pozbawioną wianka, ma prawo zażądać zwrotu *kałymu*, ale jej winę musi udowodnić zeznaniami świadków. Praktykuje się to tylko wśród bogatych, biedni zaś są zadowoleni, gdy im uda się uzyskać odszkodowanie.

Trzeba podkreślić, że w okresie swatostwa rodzice obu stron nie mają pomiędzy sobą żadnych stosunków bezpośrednich: oblubieniec nie towarzyszy swatom, potem zaś wprawdzie zwiedza aul oblubienicy, ale te odwiedziny są uważane za potajemne, o których teść nie powinien wiedzieć. Zięć po raz pierwszy spotyka teścia w chwili odjazdu, przy pożegnaniu, gdy już panna młoda wyjechała do aulu mężowskiego. Państwo młodzi dopiero po upływie trzech lat mogą zwiedzić aul rodziców żony. Wprawdzie Kirgizi patrzą pobłażliwie, gdy córka odwiedza matkę, ale spotkanie się zięcia z teściową przed tym terminem uważa się za czyn surowo potępiany. Względem świekra wymogi te są znacznie surowsze: w ogóle nie powinien on ani znać ani widzieć swej synowej.

Dzieci spłodzone przez oblubieńców w okresie swatostwa uznaje się za nieprawne, chociaż należą do rodu i rodziny swego ojca oraz korzystają ze wszystkich praw dzieci legalnych. To samo stosuje się do dzieci zrodzonych ze związków miłosnych wdowy z bratem jej męża nieboszczyka tudzież służącej z jej panem. Podobne stosunki miłosne etyka kirgiska uznaje za dozwolone, natomiast inne potępia surowo. Dzieci, zrodzone z nich, należą do rodu matki, który atoli zawsze pogardza nimi. Uprzednio dziewczęta brzemiennie karano śmiercią razem z ich kochankami, dziś zaś – ostatni płacą grzywny sowite, a pierwsze – tracą swe warkocze i są uznawane niemal za nierządnice. W tym tkwi powód do spędzenia płodu, tak szeroko rozpowszechniony wśród dziewcząt kirgiskich, a tłumaczącego się lekkością ich obyczajów; są nawet w stepach specjalistki osobne. Ani prawo karne zwyczajowe, ani etyka kirgiska nie potępiają tego zwyczaju.<sup>6</sup>

\*

### Honorata Jaśkiewicz – *Była mroźna zima*

W roku 1988 dwumiesięcznik naukowo-literacki „Literatura Ludowa” oraz Polskie Towarzystwo Ludoznawcze ogłosiły konkurs na wspomnienia Polaków z pobytu na Syberii, w Kazachstanie i w innych rejonach Związku Radzieckiego, w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Napłynęło wówczas wiele prac, które dały początek poczytnej serii „Biblioteka Zesłańca”, założonej i redagowanej przez prof. Antoniego Kuczyńskiego, wyróżnionej na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia prestiżową nagrodą Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Publikowany tu tekst wspomnień nadesłany został na ten konkurs i pierwotnie wydrukowany był w „Literaturze Ludowej” (1991, nr 1-6). Jego autorka po powrocie z zesłania i odnalezieniu się z ojcem osiadła w małym gospodarstwie rolnym pod Głogowem. Pracowała początkowo jako wychowawczyni w przedszkolu, później jako sekretarka w sądzie i kurator sądowy w Głogowie.

\*

Urodziłam się 13. IX. 1930 r. w Brzezynie, woj. Stanisławów, i tam do dziesiątego roku życia upłynęło moje dzieciństwo. Rodzice – Kazimierz i Katarzyna Stefanowie – zajmowali się gospodarstwem rolnym. Mama w posagu otrzymała 3 ha lasu, kupionego z parcelacji. Ojciec także posiadał 1 ha ziemi. Część lasu wykarczowali, uzyskując w ten sposób ziemię uprawną. Rodzice pobudowali dom i posadzili drzewka owocowe, mieliśmy także zabudowania gospodarcze. Dom, jak na owe czasy, był nowoczesny: kryty blachą, z dużymi oknami i drewnianą podłogą.

W czasie budowy domu ojciec podjął dodatkową pracę. Latem zatrudniony był w mieście Stanisławowie, a zimą pracował przy zwózce drewna. Mama wtedy zajmowała się domem i uprawą ziemi. Rodzice pracowali ciężko. Zapożyczyli się, a budowa domu ciągle pochłaniała ogromną sumę pieniędzy. W czasie żniw pracowali nawet nocą, mając nadzieję na lepsze jutro.

Byłyśmy dwie: siostra Karolina i ja. W Brzezynie nie było szkoły, a my powinnyśmy rozpocząć naukę. Wtedy mój ojciec, a także inni rodzice podjęli stara-

<sup>6</sup> Podstawa relacji: J. Witort, *Ze stepów Azji Środkowej*, „Lud”, 1899, t. 5, s. 2-20.



nia o otwarcie szkoły. Izbę na zajęcia lekcyjne w swoim domu przeznaczyła moja ciotka. Mieszkanie dla nauczyciela zaś przygotowali moi rodzice w naszym domu. Zorganizowano przedstawienie, z którego dochód przeznaczono na zakup sprzętów szkolnych. Odkryło się ono w stodole, a aktorami byli nasi rodzice i młodzież. Uczestniczyli w nim wszyscy mieszkańcy wsi, a uzyskany dochód był duży. Dzięki licznym staraniom mieszkańców Brzeziny przyjechał inspektor szkolny, który po zapoznaniu się z zaistniałą sytuacją wydał zezwolenie na otwarcie szkoły. 1 września 1936 r. czteroklasowa szkoła w Brzezynie rozpoczęła swoją działalność, w lecie natomiast na jej terenie organizowano półkolonie letnie dla dzieci. Dzieciństwo nasze było spokojne, pełne radości i miłości rodziców, a także poczucia bezpieczeństwa.

Rok 1939. Ojciec otrzymał kartę mobilizacyjną. Odjechał na front. Zapanaowała pustka i smutek. Bombardowanie: samoloty niemieckie przelatywały nisko nad domami, niosąc grozę i strach. Uciekałyśmy wtedy do lasu. Mama zostawiła światło, wypuściła bydło i spuściła z łańcucha psa. Nie spałam, kiedy weszła i powiedziała, że musimy iść, zachowywałyśmy się cicho i spokojnie idąc przez kartoflisko do lasu. Mama się śpieszyła, zaczęłam o łęty ziemniaczane i przewróciłam się, ale kiedy wstałam, mama z siostrą były już w lesie, wróciła jednak po mnie. W lesie schowała nas w stosie gałęzi, nakazując spokój, powiedziała, że niebawem wróci. Schowane pod gałęziami słyszałyśmy odgłosy przelatujących pocisków i widziałyśmy jaśniejące łuny pożarów. Dochodziły do nas ludzkie krzyki. To paliły się domostwa w sąsiedniej wsi. Tego spustoszenia dokonali Ukraińcy, wyrывая ze snu mieszkańców próbujących uciec., tych, którym to się nie udało, czekał okrutny los, łapano ich i zadawano w przerażający sposób śmierć: kobietom odrzynano piersi, niemowlęta wbijano na pale, wydłubywano oczy. Taki sam los mógł spotkać nas. Za co? Zaczęło świtać, ucichła strzelanina. Mama wróciła i wyciągnęła nas spod gałęzi zupełnie przerażone i zeszywniałe z zimna. Rano wkroczyli Rosjanie. Za kilka dni z wojny wrócił ojciec. W domu zapanowała radość. Rodzice, mimo że byliśmy w niewoli, pracowali, aby móc żyć i przetrwać. Ja z siostrą zaczęłyśmy znowu chodzić do szkoły.

Był już luty 1940 roku. Zima wyjątkowo mroźna. Śnieg zasypał drogi, do szkoły ojciec dowoził nas saniami i po lekcjach przyjeżdżał po nas. W domu w piecach paliło się przez cały dzień. 10 lutego – jak zwykle udałyśmy się na spacer. Obudził nas krzyk i stukanie do drzwi. „Odkrywaj, odkrywaj, bystrej!” Potem łomotanie i ten sam krzyk „odkrywaj!, odkrywaj!” Obudzili domowników. Ojciec zaświeceł lampę, a potem otworzył drzwi. Weszło dwóch żołnierzy sowieckich uzbrojonych w długie karabiny, krzycząc do ojca „ruki wierch”! Podeszli również do matki. Kazali stanąć jej obok ojca. Potem dokonali rewizji. Szukali wszędzie, w pościeli, szafach, nawet w pudełku z niemi. Trwało to długo. W czasie rewizji rodzice stali w bieliźnie i nie wolno im się było poruszać. Następnie odczytano rozkaz przesiedlenia i kazali nam się zbierać. Rodzice protestowali, wtedy grozili karabinami. Nie zgodzili się na opuszczenie pomieszczenia, w którym byliśmy. Nie pozwolili zabrać żadnego dobytku, oprócz paru rzeczy osobistych. Nie pozwolili również przygotować śniadania ani zabrać żywności na drogę. Potem popychając nas karabinami, kazali wychodzić. Wyszliśmy z domu wśród ciemnej, mroźnej nocy. Poganiali nas uzbrojeni żołnierze. Na dworze stały już sanie zaprzężone w parę koni. Był wiatr, zawiąło śniegiem, szczypało w policzki i znowu zaczął padać śnieg. Wepchnięto nas do sań. Ojciec okrył nam nogi

sianem i woźnica ruszył. Zaskrzybiał śnieg; pies zaszczekał a potem wył. Wyjeżdżaliśmy z domu, a za nami eskorta.

Na głównej drodze, prowadzącej do stacji kolejowej, stał już rząd sań z wysiedleńcami. Dołączyliśmy do nich. Czekaliśmy do rana, marznąc na otwartym polu. Na stacji kolejowej załadowano nas w wagony towarowe. Było bardzo ciasno, wstawiono żelazny, okrągły piecyk i zaryglowano od zewnątrz drzwi. Tak staliśmy do wieczora. Nie mieliśmy żywności ani wody, tego nie pozwolono nam zabrać. Obsługa transportu nie dała nam jeść, a do wagonów nie wolno było zbliżać się ludziom z zewnątrz. Któryś z współtowarzyszy wyjął chleb, połamał i podzielił. Dzieci z pragnienia lizały szron ze ścian wagonu. Wieczorem transport ruszył. Nikt nikogo nie żegnał, nikt głośno nie płakał. Płacz i krzyk protestu pozostały w nas. Straciliśmy wiele, ale została godność osobista.

Pociąg nabierał rozpędu. Pędził i pędził z nieznaną, stukając kołami. Było ciemno, czasem tylko może światełko wydobywało się z rozpalonego piecyka. Mieliśmy piętrowe prycze. Siedzieliśmy jedni obok drugich w ciemności, bo nawet małe okienka, które były w wagonie, zabito deskami. Ułożyliśmy się do snu na swoich tobołkach. Zasnęłam, kiedy nagle pociąg gwałtownie zaczął szarpać, manewrować. Z palącego się piecyka wypadła rura. Iskry rozsypały się po pryczy i powstał pożar szybko się rozprzestrzeniający, słychać było przeraźliwe krzyki i płacz dzieci. Nie było czym gasić, nie było wody, zaistniało nawet zagrożenie życia. W tej samej chwili ktoś własnym ciałem rzucił się na płomień, dołączyli inni, zaczęto gasić pożar kocami i własną odzieżą. Po jego ugaszeniu pozostał czad długo jeszcze utrzymujący się w powietrzu. Nie spaliśmy tej nocy z udręczenia i pełni obawy, że sytuacja taka mogłaby się powtórzyć. Przykrą dla nas sprawą było załatwianie potrzeb biologicznych. Na środku wagonu wycięto otwór w podłodze, niczym nie osłonięty, służący wszystkim potrzebującym. Trzeciego dnia naszej podróży z wielkim hukiem rozryglowano drzwi wagonu. Żołnierze przynieśli chleb, zupę w wiadrach i „kipsiatok”. I tak było codziennie aż do końca drogi. Posiłek dawano nam raz dziennie. W trakcie podróży trwającej miesiąc przeładowano nas do innych towarowych wagonów.

1 III 1940 r. transport dotarł do stacji docelowej. Dano nam kufajki, walonki, watowane spodnie i czapki uszatki. Dalszą drogę przebyliśmy ciężarówkami przykrytymi plandeką. Jechaliśmy cały dzień przez zaśnieżony step. Temperatura powietrza była bardzo niska, wiał wiatr tworząc zaspy. Nie mogliśmy znieść tak strasznej zimna, ludzie płakali. Moja ciotka Maria miała trzymiesięczne dziecko, które karmiła piersią, a pieluszki suszyła własnym ciałem. Nie przetrwało tej podróży, zmarło na jej rękach. Rozpacz matki, trzymającej nieżywe dziecko, które nie mogło się obronić przed śmiercią, a ona też nie mogła mu pomóc, zamknęła się w sobie. Rodzicom została jedynie boleść, smutek i bezsilność wobec bezkarności.

Pod wieczór dotarliśmy do ludzkich osiedli. Były to lepianki, jak się później okazało, zamieszkałe przez Kazachów. Lepianki niskie, ledwie widoczne, przycupnięte na gołym, zamarzniętym stepie, zawiane śniegiem i skute mrozem. Dojechaliśmy na miejsce. Był już późny wieczór. Skostniałych z zimna pasażerów wysadzono z ciężarówki. W drewnianym baraku znalazł się dla nas kąt w ogromnej izbie, w której umieszczono dziesięć rodzin. Takich izb było więcej. Pierwsze noce spędziliśmy na podłodze, potem dano nam drewniane prycze. Pomieszczenie było niedogrzone, ubikacja i woda na dworze. I tak się

zaczęło nasze nowe życie w Dżetygarze w woj. Kustanaj, mieście przemysłowym, bogatym w kopalnie rud metali, złota i hutę. Początkowo żyliśmy z zapomogi. Przeznaczono dla nas sklep spożywczy, w którym można było kupić różne artykuły żywnościowe, ale pieniędzy wystarczało zaledwie na chleb i mleko. Rosjanie prosili nas, aby zrobić im zakupy. Dawali za tę fatygę pieniądze. Nie rozumieliśmy, dlaczego sami tego nie czynią. Sprawa się wyjaśniła, gdy po kilku dniach sklep zamknięto, a nam dano kartki żywnościowe.

Ojca skierowano do ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kopalni. Każdego dnia po pracy należało uczestniczyć w mitingu, wysłuchując odczyty na tematy polityczne. Polacy uchylali się od tego obowiązku – uciekali. Dlatego później czekano na wychodzących koło windy, których siłą zapędzano na salę. W kopalni ojciec pracował krótko. Był wątłego zdrowia, a praca ponad jego siły, dlatego zachorował. Przebywał w szpitalu trzy miesiące. Mama w tym czasie urodziła dziecko – siostrę Emilkę i też nie mogła pracować. Głodowaliśmy.

Jedenastoletnia siostra Karolina, zmuszona trudną sytuacją rodzinną, podjęła pracę u rosyjskich nauczycieli jako opiekunka trzymiesięcznego i dwuletniego dziecka. Na mnie spadł obowiązek robienia zakupów. Po chleb kartkowy chodziło się za miasto aż do osiedli kazachskich, bo dla Polaków wydzielono tam sklep. Szło się przez całe miasto albo na skróty przez rzekę, przez którą wiodła tylko wąska kładka bez poręczy. Zawsze się bałam, że wpadnę do wody. Czasem dzieci bawiące się nad rzeką pomagały mi przechodzić. Zimą rzeka zamrznięta, było niebezpiecznie, bo w czasie wichury wiatr porywał nawet ludzi, zamarzały oczy, a było to daleko od domów i nikt nie usłyszałby wołania o pomoc. Zdarzyło się raz, że burza zastała mnie na rzece. Położyłam się na rzece twarzą w dół i odczekałam aż minie. Przysypał mnie śnieg. Po burzy wyczołgałam się z zasy. Przed sklepem czekało się w kolejce godzinami zanim przywieziono chleb. Często wypychano mnie z kolejki, bo byłam mała i słaba. Mleko kupowało się w ten sam sposób, ale w innym sklepie usytuowanym w centrum miasta. I tak prawie cały dzień spędzałam w kolejkach. Zmęczona wracałam do domu. Poza chlebem i mlekiem nie było w sprzedaży innych artykułów spożywczych. Zdarzało się czasem, przeważnie raz w miesiącu, że sprzedawano na kartki po kilogramie mąki albo cukierki i herbatę. Były stołówki w mieście, gdzie sprzedawano zupę po jednej porcji na osobę.

Ojca po powrocie ze szpitala zatrudniono jako cieślę. Polacy nie mieli możliwości wyboru pracy. Musieli pracować tam, dokąd zostali skierowani, czyli głównie do kopalni. Zmianę pracy mógł zlecić tylko lekarz, który skierował ojca na budowę. Budowali szkołę. Zmieniono nam mieszkanie, By to kąt w baraku w dużej izbie z dala od miasta, zamieszkiwany przez wiele rodzin. Mieszkaliśmy tam krótko. Życie w takim skupisku, jeszcze większym jak poprzednio, było bardziej uciążliwe. Ludzie chodzili do pracy na różne zmiany. W nocy palili światło, małe dzieci budziły się i płakały. Wszyscy byliśmy udęczeni, a w dodatku głodni z powodu niskiego wynagrodzenia za pracę i braku dodatkowego źródła dochodu. Jeżeli któryś ze współlokatorów zdobył pożywienie, chował je i zjadał w ukryciu.

Znaleziono dla naszej rodziny pustą lepiankę za miastem. Rodzice zdecydowali, że się tam przeprowadzą. I zamieszkaliśmy w tej lepiance, chociaż wszędzie było daleko, ale za to panowały dookoła spokój i cisza. Mała Emilka mogła już spać i bezpiecznie się bawić. Początkowo nie mieliśmy żadnych me-

bli, ale ojciec przyniósł deski z budowy i zrobił stół i prycze. Wymurował gliniany piec z paleniskiem, mieszkaliśmy tam we czworo, bo siostra Karolina wciąż pracowała poza domem jako opiekunka do dzieci. W lepiance najczęściej zostawałam ja z siostrą Emilką. Moja mama chodziła po zakupy, zajmowało to jej dużo czasu, droga była daleka, a pokonywała ją pieszo. Ojciec pracował i całe dnie był w domu nieobecny.

Lato zbliżało się ku końcowi. Któregoś dnia zaczął padać deszcz. Trwało to przez trzy dni, wreszcie deszczowa woda zaczęła podmywać lepiankę. Mama wyszła po zakupy do miasta i nie wróciła do domu. Powódź zerwała most na rzece, uniemożliwiając jej powrót. Zostaliśmy rozdzieleni. Rodzice na jednej stronie rzeki, a ja jako dziesięcioletnia opiekunka niemowlęcia, po drugiej. Całą noc przesiedziałam z dzieckiem w pościeli zziębnięta i wystraszona. Rano nakarmiłam małą i znów wtuliłam się w posłanie. Ściany lepianki nasiąkły wodą i kawałki gliny zaczęły opadać, większe, coraz większe. Przerażona chwyciłam dziecko i schowałam się z nim pod stół. I stało się! Ogromny kawał rozmokłej gliny spadł na posłanie, opuszczone przed chwilą przez nas, a potem na stół. Zamarłam w bezruchu. Nie wiedziałam, co mam robić, tuliłam tylko dziecko do siebie i pozostałam pod stołem. Po chwili przestała spadać glina. Koło południa deszcz przestał padać, wróciła mama z ojcem. Na rzece zbudowano prowizoryczny most dla pieszych i dzięki temu mogli wrócić. Rodzice wrócili do domu a domu już nie było.

Pomógł nam kierownik budowy – Rosjanin – również zesłaniec. Przeznaczył dla nas stróżówkę na mieszkanie. Zatrudnił mamę jako nocnego stróża. Pomieszczenie to służyło nam za mieszkanie i za miejsce, gdzie robotnicy budowy spożywali posiłki, a zimą w czasie niskich temperatur za schronienie. Była to jedna izba. Robotnicy, przeważnie Kazachowie, żuli tytoń, plując, gdzie popadło: na podłogę, po ścianach, a nawet w nas. W sąsiedztwie budowy mieścił się urząd NKWD. Oficer z tego urzędu nakłaniał ojca na przyjęcie obywatelstwa rosyjskiego, postępował podobnie w stosunku do innych Polaków. Wszyscy odmówili. Wówczas zaczęły się szykany i aresztowania. Prześladowani uciekali w step, ukrywali się w ten sposób, aby uniknąć aresztowania. Ojciec został aresztowany.

Polacy solidaryzowali się ze sobą, zbierali się na rozmowy, mimo, że było to surowo zabronione. Nie tracili nadziei ani ducha polskości. Marzyli o powrocie do kraju, suszyli chleb na drogę i wierzyli, że odzyskają wolność i wrócą do rodzinnych stron. Czasami wieczorami utrudzeni rodzice siadali na ławce, wspominali swój dom, rodzinę, marzyli o powrocie i czekali, kiedy nadejdzie ten dzień. Wtedy i ja, po cichu, marzyłam o tym samym. Widziałam nasz dom osłonięty starym dębem, pod nim stolik, gdzie latem jedliśmy posiłki. W niedzielę przychodziły ciotki, siostry mamy, oraz babunia i tam odpoczywały. Kochałam je bardzo. Kochałam moją babunię, która z każdego odpustu przynosiła piernikowe serca, kolorowe cukierki, a czasem zabawki. Kochałam je za to, że były. Pamiętałam wieczory, zachodzące słońce. Lubiłam opadającą rosę, kopki siana, a także świeży zapach łąk i lasów, mieszający się z zapachem ogródkowej maciejki i nasturcji. Wzdłuż drogi wyjazdowej rząd strojnych białych brzoź, a przed nimi potok z szumiącą wodą były ulubionym miejscem zabaw szczególnie wiosną, kiedy rozkwitały pierwsze kwiaty. Biegłyśmy zrywać

pierwiosnki, zawilce i niebieski barwinek. Brodziłyśmy po wodzie, a potok हुआ i niósł wezbrane wody. Często wieczorami siadywałyśmy z mamą na gan-ku, czekając na powrót ojca, a kiedy słońce schowało się za horyzontem i las pociemniał, leśne echo podawały dęby bukom, buki klonom, aż gubiło się w olszynie nad potokiem. Mieszkaliśmy pod lasem, lubiłam ten las i znałam jego tajemnice. To wszystko nam zabrano, wydarto w brutalny sposób, ograbiono z dzieciństwa, radości życia, uczyniono z nas nędzarzy, morząc głodem. Dlaczego? Tutaj dookoła rozciągał się jak morze bezkresny, goły step z lepiankami, zamieszkaany przez naród Kazachów, gdzie mrozy i śniegi utrudniały życie. Dzieci, podobnie jak dorośli, musiały walczyć o przetrwanie.

Nadszedł rok 1941 i wybuchła wojna. Wojska niemieckie uderzyły na ZSRR. W tej sytuacji rząd ZSRR zawarł z rządem polskim w Anglii układ wzajemnej pomocy wojennej podpisany 30 VII 1941 r. w Moskwie. Przywrócono stosunki dyplomatyczne, zaczęto organizować wojsko polskie. Rząd sowiecki zobowiązał się udzielić amnestii Polakom znajdującym się w ZSRR, pozbawionym dotychczas wolności. Ojciec zgłosił się do armii polskiej jako ochotnik. Po otrzymaniu zezwolenia na wyjazd opuściliśmy Dżetygarę 1 IX 1941 roku. Dołączyliśmy do transportu Polaków mającego dotrzeć do Armii gen. Władysława Andersa, a następnie do Anglii. W podróży przebywaliśmy około miesiąca, z dużymi postojami nawet po kilka dni (pobyty na bocznicach). Ludzie wychodzili z wagonów, aby zdobyć pożywienie i wodę. Często zostawali, bo pociąg w tym czasie odjeżdżał. W ten sposób rozłączono wiele rodzin.

Dojechaliśmy do miasta Buzułuk, gdzie część wagonów odczepiono, a reszta pojechała w dalszą drogę. Nas odstawiono na bocznicę, obiecując dostarczyć za kilka dni lokomotywę. Czekaliśmy bezskutecznie. Z peronu kazano nam się wynosić. Nie poszliśmy, bo nie mieliśmy dokąd. Wieczorem podtopiono nas wodą. Nad ranem nasze tobołki pływały. Noce były chłodne. Nie dosyć tego, że ludzie byli głodni, zziębnięci, wyczerpani fizycznie i psychicznie (było nas kilka tysięcy), to jednak zgnębiono nas do reszty tą zimną wodą. O wschodzie słońca opuściliśmy peron, znajdując wzgórek poza miastem, gdzie w słońcu suszyliśmy nasze rzeczy. Byliśmy u kresu sił, obdarci, głodni i zawszawieni. Kilku mężczyzn, między nimi mój ojciec, odszukali polską placówkę w Buzułuku i zwrócili się o pomoc, którą otrzymaliśmy. Przez kilka dni dawano nam jeść, a potem podstawiono wagony, znów jechaliśmy w nieznane. Szerzyły się choroby. Ludzie umierali w wagonach. Ciała ich wyrzucano na wózki kolejowe. Zapamiętałam szczególnie smutny moment. Wyrzucono umarłą kobietę. Ręce jej opadły wzdłuż wózka, a wiatr porывał siwe, długie włosy. Została tam na stacji kolejowej bez pożegnania bliskich, bez jednej czyjejs łzy na ostatnią drogę.

Po dwóch czy trzech tygodniach dojechaliśmy do jakiejś stacji i kazano nam wysiadać. Podstawiono drabiniaste wozy zaprzężnięte w woły, którymi przemierzaliśmy rozległy step. Nie było żadnych zabudowań, drzew ani wody. Koła grzęzły i skrzypiały na piaszczystej drodze. Tak przejechaliśmy pół dnia, po południu zaczął padać deszcz i padał do wieczora. Byliśmy chorzy, brakowało nam sił, aby iść, więc leżeliśmy na wozie, moknąc. Przemokliśmy zupełnie, nasze rzeczy także. Pod wieczór dojechaliśmy do osiedli. Umieszczono nas w szkole, dano posiłek i wysuszono odzież. Tam spędziliśmy noc. Następnego dnia udaliśmy się w dalszą drogę tymi samymi wozami. Na miejsce dojechali-

śmy następnego dnia. Był to kołchoz. Dookoła pola uprawne z resztką nie zebranej kukurydzy, drzewa owocowe dotąd niespotykane, pola bawełny, dużo kanałów napełnionych wodą, słońce, ciepło i resztki ziemi. Przyszedł jakiś mężczyzna Kazach czy Uzbek żujący tabakę i wskazał nam mieszkanie. Była to kurna chata, nie mająca okien, lecz dwoje szerokich drzwi na wylot i otwór w suficie. Na środku izby palenisko, ściany czarne, odymione. Przyszły kobiety, przyniosły placki (podpłomyki) i suszone owoce. Mama była chora, ale następnego dnia wszyscy poszliśmy do pracy przy zbiorze bawełny.

Zaczęliśmy doprowadzać do porządku nasz nowy dom. Ojciec wybielił ściany, zrobił okno, zamurował dziurę w suficie i postawił gliniany piec. Żywność otrzymaliśmy za kilka dni, odpoczęliśmy wreszcie od tułaczek, podróży w wagonach, doprowadziliśmy do porządku resztki naszej garderoby. Po upływie trzech czy czterech tygodni znowu kazano nam się zbierać, bo teraz pojedziemy do Polski. Zaczęła się kolejna podróż i kolejna tułaczka pociągiem. Na początku grudnia wysadzono nas na jakiejś stacji kolejowej i tam na peronie przesiadaliśmy dwie doby. Było bardzo dużo ludzi, niektórzy zawszawieni błakali się bez celu i jakiegokolwiek nadziei, doprowadzeni do rozpaczki.

Byliśmy chorzy. Wysoka gorączka, ogólne wyczerpanie i niedożywienie. Przyjechały po nas znów podobne wozy i tak jak poprzednio zawiozły nas zamiast do Polski – do innego kołchozu kazachskiego. Tam umieszczono naszą rodzinę w jednej izbie wraz z pięcioma samotnymi mężczyznami – Polakami. Nie byli nam przychylni. Choroba nasza rozwijała się. Cały czas utrzymywała się wysoka gorączka, po kilku dniach nastąpił obrzęk ciała, pojawiły się podskórne pęcherze, które pękały, pozostawiając rany. Ciało moje, jak i moich siostr, pokryte było jedną wielką raną.

13 grudnia 1941 r. umarła moja mama. Pochowano ją bez trumny, owinięto kawałkiem płótna i ułożono w wykopanym grobie. Spoczęła na pagórku u podnóża rzeki. Odeszła na zawsze. Zabrała z sobą cierpienia, upokorzenia, trudy i małe radości, jak również marzenia, które nie mogły się już spełnić. Została nas. Miała zaledwie 35 lat, umarła z wycieńczenia i głodu. Na mogile nie umieszczono krzyża ani tabliczki z imieniem – nawet nie było z czego zrobić. Została bezimienna w dalekim Kazachstanie. Nikt nie pielęgnuje jej grobu, nikt nie zapala świecy, tylko wiatr kołysze nadbrzeżne szuwary i tylko pamięć o Jej męce pozostała w nas. Długo jeszcze chorowałyśmy, prawie przez całą zimę, bez pomocy lekarskiej i żadnych leków.

Na wiosnę, nie pamiętam w jakich okolicznościach, ojciec odnalazł nasze ciotki Marię i Zofię – kuzynki mamy, wywiezione razem z nami. Ciotka Maria, której dziecko zmarło w drodze do Dżetygary, została też wdową. Straciła jeszcze dwoje dzieci. Został z nią tylko syn Edward. Ciotkę Zofię wywieziono bez męża z dwojgiem małych dzieci – Eugeniuszem i Walerianem. Kobiety te ciężko pracując, aby zapewnić utrzymanie swoim dzieciom, borykały się z niełatwym życiem. Postanowiono, że zamieszkamy razem. Przeprowadziliśmy się do nich, do innego kołchozu. Zamieszkaliśmy w lepiance. Dobudowano jeszcze jedną prycę z gliny dla nas.

Ojciec i dwunastoletnia siostra Karolina pracowali przy uprawie bawełny, a ja zajmowałam się młodszą Emilką. Ogromną motywacją rozpulchniali nawodnione uprzednio pole. Praca była ciężka, zwłaszcza dla dzieci. Jesienią ja także pracowałam przy zbiorze bawełny. Za pracę otrzymywaliśmy mleko i

pszenicę. Ziarno kręciło się w żarnach, z mąki piekliśmy placki albo robiliśmy kluski. Poza pszenicą, jęczmieniem i bawełną kołchozy nie uprawiały innych roślin, toteż nie mieliśmy warzyw ani ziemniaków. Wynagrodzenie za pracę było tak niskie, że nie zabezpieczało wyżywienia rodzinie. Głodowaliśmy. Ciotki także pracowały w kołchozie, a ich sytuacja była podobna.

Upalne dni były męczące. W czasie lata nie spadła kropla deszczu. Temperatura w południe wahała się od 40 do 60 stopni. Węży pełzały i wygrzewały się w piasku. Trzeba było uważać, aby nie nadepnąć na usypany kopczyk i na węża, gdy chodziło się bosą. Można było spotkać je na każdym kroku, nawet wpełzały do izby. Skorpiony także były naszą udręką, były wszędzie, a ukąszenie przez nich groziło śmiercią. Zaczęliśmy chorować na malarię. Atak zaczynał się wysoką gorączką i trwał około godziny albo więcej. Ataki powtarzały się niemal codziennie. Dawano nam chininę z amerykańskich i angielskich darów, którą rozdzielaly polskie placówki. Stamtąd otrzymywaliśmy także żywność i odzież. Po leki, paczki żywnościowe i odzież Karolina chodziła do Czajanu, miasta powiatowego, oddalonego od miejsca zamieszkania o około 25 km. Pokonywała drogę pieszo w obydwie strony. Wychodziła w nocy i nocą wracała z ciężkim plecakiem. Czasem towarzyszyła jej ciotka. Do Czajanu droga wiodła przez step, potem przez góry skaliste i trzeba było jeszcze przejść przez rzekę. Było niebezpiecznie. W górach spotykało się wędrujące karawany i różnych zbirów, którzy kradli i gwałcili, poza tym panująca spiekota i brak wody utrudniały wędrowkę. Trzeba było dokonywać wyboru: iść czy nie.

Ojciec zachorował i przestał pracować. Miał sparaliżowane nogi. W domu było małe dziecko – trzyletnia Emilka. Karolina i ja musiałyśmy stać się dorosłymi i odpowiedzialnymi za los najbliższych. Siostra – drobna, niskiego wzrostu, każda wykonywana przez nią praca była ponad jej siły. Najgorzej znosiła wędrowkę do Czajanu i dźwiganie plecaka z żywnością. Kiedy wracała nocą zmęczona z opuchniętymi nogami, długo nie mogła odzyskać sił. Ja zajmowałam się dzieckiem i byłam przy ojcu. Ojciec leżał w domu około pół roku bez pomocy lekarskiej (brak lekarza). Z pomocą przyszedł mu miejscowy Kazach, codziennie w południe przyjeżdżał na osle i zawoził ojca nad rzekę, gdzie gorącym piaskiem robił masaże. Rozcierał chore miejsca, które wygrzewały promienie słoneczne. Po długich zabiegach ojciec poczuł się lepiej i zaczął chodzić. Głodowaliśmy w czasie choroby ojca, bo siostra też nie pracowała. Zaczęła chorować na żołądek, wtedy ja, zmuszona sytuacją, chodziłam nocą ścinać niedojrzałe jeszcze kłosa pszenicy lub jęczmienia. Chodziłam z innymi dziećmi, bo razem było raźniej. Ścięte kłosa zanosiliśmy w góry, a kiedy wyschły, kruszyło się je i czyste ziarno przynosiliśmy do domu.

Któregoś wieczoru wracaliśmy zadowoleni z ziarnem, ciesząc się, że będą placki z prażonej, roztartej pszenicy. Przeszliśmy kawał drogi i nagle, na odległej skale pojawiły się wilki. Noc była jasna, widać było wyraźnie ich sylwetki i świecące ślepią. Wyły. Zaczęliśmy uciekać. Potem ktoś z dzieci powiedział, że wilki boją się ognia i krzyku. Więc zaczęliśmy krzyczeć. Krzyczeliśmy głośno i przeraźliwie. Przerazenie i strach dodawały nam siły do ucieczki. Do domu wróciliśmy późną nocą.

Z chłopcami chodziłam na step zbierać żółwie jaja. Szukało się w piasku, w usypanych kopczykach, bo tak właśnie żółwie składają jaja do wylęgu. Zbieraliśmy też żółwie i oprawialiśmy je żywcem. Rozbijało się spoiny z boku, a

potem wycinało mięso. Na stepie zbieraliśmy grzyby, różne cebulki roślin i korzenie. Z pasących się w stadzie owiec skubaliśmy wełnę, którą przędliśmy, a Karolina robiła sweterki (ręcznych robótek nauczyła się w szkole w Brzezynie). Po zachodzie słońca chłopcy szli na step, gdzie były ruiny dawnych osiedli ludzkich i z wyschniętych studzien wybierali młode gołębie. Wyćwiczyliśmy się w zdobywaniu pożywienia. Nie było dla nas niejadalnych produktów. Każdą trawę, bulwę, zielony korzeń przetwarzaliśmy na pokarm, nawet jeżeli było to gorzkie i nie bardzo nadawało się do jedzenia – moczyliśmy w wodzie.

Jesienią po zbiorach szło się na ścierniska zbierać kłosa. Późną jesienią bywały porośnięte, ale i te zbieraliśmy. Kiedy nadeszła zima i już nic nie można było zdobyć na stepie polskie dzieci chodziły po prośbie. Szły od jurty do jurty, proszą chleba. Napadały ich psy, ogromne psy, których było po kilka przy każdej jurcie. Kazachska miejscowa ludność nieraz zapraszała nas na uroczystości weselne, bowiem był taki zwyczaj, że wszyscy mieszkańcy kołchozu uczestniczyli w gościnie. Na wesele zabijali barana, gotowali go w całości, mięso dzielili według hierarchii rodowej, np. głowie rodu mięso z głowy barana. Do tego robili rwane ogromne kluski i rosół. Wkładali mięso i kluski na duże drewniane miski i spożywali je rękoma wszyscy z jednej miski. Rosół wypijali z miseczek. Mężczyźni i kobiety siedzieli osobno, toteż posiłek podawano oddzielnie.

Panna młoda z zasłoniętą twarzą była w innym pomieszczeniu. Dopiero po ślubie mogła ją odsłonić i wejść do gości. Pannę młodą przebierano w inną sukienkę do ręki podawano motykę i sznur, symbole pracy, by później motykę używała przy uprawie bawełny, a sznurem wiązała wiązki suchego opału i na plecach przynosiła do domu. Przed posiłkiem przynoszono dzban wody, która służyła wszystkim siedzącym dookoła w kucki do mycia (polewania) rąk. Następnie wódz przemówił do zebranych i każdemu z gości podawał stosowny kawałek mięsa. W ten sposób rozpoczynała się gościna weselna. Były też przygotowane napoje. Napój z prosa, napój z kobyłego mleka. Produkty wcześniej poddawano fermentacji.

Kazachowie byli ludźmi o niskiej kulturze. Niektórzy tylko, zwłaszcza młodzi, umieli czytać. Istniało wielożeństwo. Dziewczynę można było kupić za pewną liczbę owiec czy zboże, bo zboże było zamiennikiem pieniądza. Pieniądz nie miał racji bytu. Młodą dziewczynę mógł kupić każdy mężczyzna niezależnie od jego wieku, byleby dobrze zapłacił ojcu. Kobieta nie mogła protestować, nie miała do tego prawa. Prawo obyczajowe ustanawiali sami Kazachowie. Z Kazachami mogliśmy się porozumiewać, bo dzieci uczą się szybko języka. Moją trzyletnią siostrę Emilkę chciała kupić rodzina Kazachów dla swojego trzyletniego syna. Chcieli kupić, bo była blondynką, miała niebieskie oczy i jasną skórę. Chcieli mieć taką rasę w swoim rodzie.

Rok 1944. Ojciec został powołany do służby wojskowej w Armii Polskiej, utworzonej na terenie ZSRR. W Czajanie mieściła się delegatura Związku Patriotów Polskich, do której zwrócił się ojciec z prośbą o opiekę nad nami. Pożegnaliśmy nasze ciotki i kuzynów, udając się z ojcem do Czajanu, do punktu zbiorczego. Wyszliśmy z domu nocą i pod wieczór byliśmy na miejscu. Tam po przyjęciu nas ojciec odjechał. Stałyśmy jeszcze długo pod ścianą murowanego baraku, bardzo smutne i opuszczone. W punkcie tym było jeszcze dużo innych polskich dzieci. Nazajutrz rano zaprzężono woły do wozu, załadowano nasze



rzeczy, jeśli jeszcze ktoś je miał i ruszyliśmy w drogę. Małe dzieci jechały na wozie, a starsze szły za wozem. Wyszliśmy za miasto i jak okiem sięgnąć widać było jedną równinę – gorący, bezkresny step. Musieliśmy wejść w to piekło i przemierzyć tę równinę małymi, bosymi stopami. Musieliśmy, nie było wyboru. Nikt nas nie osłaniał, nikt nie zachęcał do drogi. Dzieci same wspomagały się nawzajem. Starsze dzieci były szczególnie opiekuńcze. Szliśmy, a słońce było coraz wyżej i wyżej i coraz bardziej paliło nasze twarze i stopy. Szliśmy piaszczystą, gorącą drogą, a za nami tuman kurzu unosił się w powietrzu. Szliśmy i zdawało się, że droga ta nie ma końca. Szliśmy tak przez cały dzień, z małymi przerwami na odpoczynek. Pod wieczór doszliśmy do oazy. Dolina pełna zieleni, rosnącej kukurydzy, zielonych drzew owocowych i wody. Dużo wody. Byliśmy zmęczeni, spieczeni słońcem i głodni, a przede wszystkim spragnieni. Piliśmy wodę bez opamiętania, a pragnienia wciąż nie można było ugasić. Piliśmy jeszcze i jeszcze. Potem starsze dzieci nazbierały suchej trawy i obornika. Chłopcy krzesiwem wznieśli iskrę i rozpalili ognisko. Postawiliśmy sagan i Karolina gotowała nam zupę. Po kolacji poszliśmy spać. Noc spędziliśmy na dworze, spaliliśmy na trawie na różnych łachmanach. Spaliliśmy snem kamieniem.

Dzień następny rozpoczął się podobnie. Upał i wędrówka za skrzypiącym wozem. W tamtym klimacie zawsze panują wysokie temperatury. Step tylko wiosną jest zielony. Rozkwitają kwiaty a przede wszystkim przepiękne różnokolorowe tulipany, okrągłe kaktusy i wtedy tylko padają deszcze. Potem w kwietniu i maju nadchodzi susza. Słońce spala step do czerwoności i nieraz powstają samoistne pożary. Szliśmy znów w upale i ten sam żar był pod stopami i ten sam kurz w gardle, kurz przed nami i za nami. Dzieci zaczęły zostawać daleko za wozem. Opiekuni sadzały najbardziej zmęczone dzieci na wóz. Było nas około 30 osób. W czasie podróży otrzymywaliśmy jakieś posiłki w małych porcjach, przygotowywane przez opiekunki. Były z nami dwie panie i woźnica Kazach, który znał drogę i prowadził nas przez step. Drugiego dnia wędrówki napotkaliśmy rzekę, przez którą trzeba było przejść. Dzieci bały się szumiącej, nieznannej wody. Rzeka była szeroka. Część dzieci przeszła, a część została na drugim brzegu. Nikt ze starszych im nie pomógł. Wówczas Karolina i starsi chłopcy przenieśli je na rękach. Zrobili to samorzutnie bez nakazu. Wcześniej nie znaleźmy się, ale w podróży w tych ciężkich warunkach więzy przyjaźni szybko powstały.

Słońce już zachodziło, kiedy doszliśmy do Sajramu, miasta z murowanymi domami, meczetami, ulicami i sklepami. Zieleń, sady owocowe i pola uprawne. Byliśmy na miejscu. Po sprawdzeniu obecności okazało się, że dwoje dzieci brakuje. Nie było mojej siostry Karoliny i dziewczynki Zosi z naszego kołchozu. Jak się później okazało, Zosia nie mogła iść i została, a Karolina dotrzymywała jej towarzystwa. Nikt tego nie zauważył. Późnym wieczorem same dotarły do miasta. Odnalazły nas w domu dziecka.

Duża, drewniana brama, zamykana później każdorazowo na kłódkę, tym razem otwarta szeroko pozwoliła nam wejść. Na dziedzińcu zabudowania tworzące czworobok. Były to pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze. Na środku podwórza stał maszt z podniesioną czerwoną flagą i tam później dwa razy dziennie, rano i wieczorem, odbywał się apel, na zakończenie którego śpiewaliśmy „Sojus nieruszymy republik swobodnych...” Przyjęły nas polskie wycho-

wawczynnie, podzieliły na grupy wiekowe. Mnie zaliczono do grupy średniej, Karolinę do starszej a Emilkę do maluchów. I w ten sposób zostałyśmy rozdzielone. Najbardziej przeżyła to Emilka. Nie chciała jeść, bawić się, płakała i przestała mówić.

Był już wrzesień. Zapisano nas do polskiej szkoły, mieszczącej się w Domu Dziecka nr 1 w Sajramie. Nasz dom był drugim domem w tym mieście. Otrzymaliśmy bardzo mało odzieży, nie wystarczyło to dla wszystkich dzieci, a było nas około 200 osób. Bieliznę i sweterki dziewczynki robiły na drutach z przędzonej również przez nie bawełny. Robótek nauczyliśmy się szybko jedna od drugiej. Zrobiona przez nas odzież nie była pierwszej jakości, jednak można było ją nosić. Nadeszła zima i chociaż nie było śniegu, padały deszcze i obniżyła się temperatura powietrza. Przydzielono nam wówczas zimową odzież po 3 lub 4 płaszcze na grupę. Było znacznie więcej dzieci, czyli praktycznie prawie cała grupa w dalszym ciągu nie miała odzieży. Podobny sposób załatwiono nas z butami. Dzieci chodziły na dwie zmiany do szkoły, wymieniając odzież. Niektóre w ogóle nie chodziły do szkoły. Zostawały w domu dziecka i owijały nogi szmatami. Lekcje odrabiała z nami wychowawczynie w świetlicy. Całe życie koncentrowało się w świetlicy, gdyż była ogrzewana. Spaliśmy w zimnych sypialniach. Zsuwało się kilka łóżek razem i w ten sposób było więcej koców do przykrycia.

Wieczorem, już w łóżku, rozmawialiśmy o naszych sprawach, o rodzicach i skąd pochodzimy. Koleżanka Halinka Szatiło, jasnowłosa, drobna dziewczynka, opowiedziała mi swoją tragedię. Jej ojciec wyszedł na step w poszukiwaniu pożywienia i nie wrócił. Wówczas matka poszła szukać go i też nie wróciła. Potem znaleziono ich ciała na stepie. Umarli z głodu i wycieńczenia, nie mieli siły, aby wrócić. Ona została sama z młodszym bratem. Przed snem modliłyśmy się razem, całą grupą, chociaż było to zabronione.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia. Niczym nie podkreślono tego dnia, wszystko odbywało się jak co dzień. W czasie kolacji Karolina zaśpiewała kolędę „Bóg się rodzi...” Na sali zapanowała cisza. Była to grupa starszych dzieci i wszyscy wiedzieli, że nie mogą jawne wyznawać swoich uczuć religijnych. Nie pozwolono jej dokończyć kolacji. Kierowniczka Polka, zabrała Karolinę do kancelarii i w sposób serdeczny wytłumaczyła, że nie możemy obchodzić świąt i śpiewać kolęd.

Zimę przeżyliśmy w trudnych warunkach bytowych, prawie o głodzie. Wprawdzie dostawaliśmy posiłki trzy razy dziennie, tzn. od 100 do 200 g chleba, zupę z buraków albo trochę kaszy, wszystko to było bez tłuszczu, nie zaprawione niczym poza solą. Od stołu wstawaliśmy zawsze głodni. Byłam bardzo chuda, wystawały mi kości i źle wyglądałam. Wychowawczynie zdecydowała, że pójde do pracy w kuchni. Przez trzy miesiące byłam kelnerką. Na wiosnę kierownictwo zdobyło kawałek ziemi. Posadzono warzywa, kukurydzę i buraki. Na polu pracowały starsze dzieci i personel. Kupiono krowę i osła, mieliśmy więc mleko, a osioł służył jako siła pociągowa. Zajęć było dużo – nauka w szkole, robienie na drutach i zbieranie opału(suchej trawy) do kuchni. Wybrano mnie na drużynową średniej grupy dziewcząt. Do moich obowiązków należało opiekować się grupą, szczególnie wtedy, kiedy wychodziliśmy poza teren domu dziecka.

Tego lata wyżywienie poprawiło się, ale nie na tyle byśmy nie byli głodni. Byliśmy tak wygłodzeni, że każda ilość pokarmu została natychmiast wchłonięta przez organizm. Można było jeść bez przerwy i zawsze czuło się głód.

Jednym i może jedynym wówczas marzeniem każdego dziecka było najeść się do syta chleba. Tak przetrwaliśmy do 1946 roku. W kwietniu, a więc prawie po roku, dotarła do nas wiadomość, że skończyła się wojna i możemy wrócić do kraju. Oznajmiła nam to wychowawczynie w czasie porannego apelu. Ogarnęła nas wielka radość aż do szaleństwa. Wiwatowaliśmy, chusteczki i czapki leciały w górę. Całowaliśmy się i w tym wielkim uniesieniu zaśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła...” Byliśmy szczęśliwi.

Po miesięcznym przygotowaniu opuściliśmy Sajram. Wracaliśmy do Polski. Na stacji podstawiono pociąg towarowy przystosowany do przewożenia ludzi. Załadowano kilka tysięcy dzieci. Ostatni wagon przeznaczono na kuchnię. My wracaliśmy ze swoimi wychowawczyniami. Na drogę otrzymaliśmy wszyscy nowe ubrania i buty. Sukienki szyto nam na miarę tuż przed wyjazdem. Zapatrzone w żywność, jak ryż i konserwy. Podróż trwała prawie miesiąc. W czasie podróży zdarzył się wypadek. Na nasz transport najechał z tyłu inny pociąg i rozbił ostatni wagon – kuchnię. Nikt nie zginął w czasie wypadku, bo nikogo tam nie było. Zdarzyło się to nocą i w związku z tym staliśmy na otwartej przestrzeni aż do rana. Jechaliśmy przez Pustynię Kara-kum, lotne piaski i obszarne solne. Mijaliśmy szeroką Wołgę, żyzne pola Ukrainy, tak dojechaliśmy do Warszawy. Warszawę zobaczyłam w strasznych ruinach. Była smutna, okaleczona, sponiewierana jak cały naród polski.

Teraz zaczął się dla nas nowy etap wędrówki. Dom Rozdzielczy w Gostyninie koło Kutna, skąd zabrała nas rodzina mojej mamy. Potem po odnalezieniu ojca przenieśliśmy się na Ziemię Zachodnie, gdzie od 16 roku życia rozpoczęłam pracę. Nie czułam się tu dobrze, nie było miejsca dla mnie. Wciąż tęskniłam za rodzinnymi stronami.

Po latach, kiedy weszłam w dorosłe życie, nie mogłam mówić o swoich przejściach. Nie mogłam, gdyż zawsze boleśnie przeżywałam wszystko od początku. Nie mogłam, bo było to źle widziane i źle rozumiane przez otoczenie. Szczególnie przez ludzi, którzy w czasie wojny potrafili jakoś ułożyć swoje życie bez głodu, zimna i strachu przed śmiercią. Nie mogłam, bo mówienie o tym do niedawna było zabronione pod odpowiedzialnością karną. Tym razem przez polskie władze, na polskiej ziemi.

To wszystko było we mnie. Zapadło w mojej pamięci cichym protestem dziecka, któremu zabrano dzieciństwo, dom, matkę, ojca, chleb i rzucono na poniewierkę w wir zbrodniczego, nieludzkiego systemu. I tak już pozostało. A dziś? Sprawiedliwość dziejowa spełniła wreszcie nasze nadzieje. Nikt nie zaprzeczy i nie zatrze śladów naszej wojennej, niechcianej tułaczki – polskich zesłańców na sowieckiej ziemi, nie zatrze naszych wspomnień i pamięci o tych, którzy na tej ziemi oddali swoje życie. To także była walka narodu polskiego o przetrwanie, którą toczyliśmy przez sześć lat na wszystkich frontach świata. Wynieśliśmy z tej walki godność ludzką, którą odbierano nam przez lata wszelkimi sposobami. Zachowaliśmy język i obyczaje ojczyste, wiarę naszych przodków i wiarę w lepszą przeszłość. I na tym polega wartość naszych przeżyć, cierpień i zmagania.

